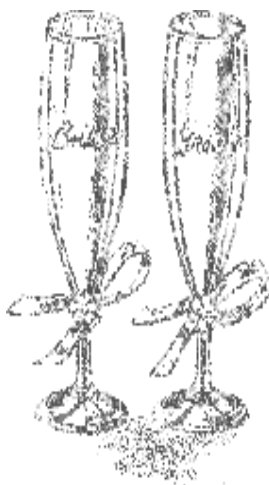




# Margaret Way

*Powrót do raju*



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Spod nóg Bronte przy każdym kroku podnosił się wulkaniczny pył. Piach dostał się do sandałów, drażniąc palce i podeszwy stóp, wydelaconych od czasu, gdy wyjechała z farmy położonej na skraju dżungli. Pył barwy zaschniętej krwi pokrył eleganckie skórzane obuwie. No tak, tylko kto o zdrowych zmysłach wkłada sandały na obcasie, gdy ma iść pieszko drogą w buszu? O kurczę! Bronte źle stąpnęła, wykręcając kostkę, jęknęła i zakląła pod nosem, zirytowana w najwyższym stopniu. Trzeba było włożyć sznurowane półbuty albo przynajmniej adidas! Zdjęła z ramienia kosztującą majątek torbę. Nawet pusta, nie była lekka jak piórko, a teraz z każdym krokiem wydawała się cięższa. Podobnie nieduża walizka. Ważyła chyba tonę. Bronte postawiła ją na drodze. Uff. Co za ulga. Można było wreszcie wytrząsnąć żwir i oczyścić stopy. Łapczywie chwyciła ustami gorące, wonne powietrze. Podciągnęła zsuwające się ramiączko stanika i poprawiła okulary ześlizgujące się ze spoconego nosa. Miała na głowie duży kapelusz z szerokim rondem, a mimo to żar słońca wdierał się aż do mózgu. Spojrzała ironicznie na

swoją markową zieloną bluzeczkę, moką pod pachami i lepiącą się do ciała.

- Dobrze ci tak. Jesteś głupia - wymruczała pod nosem. Często mówiła do siebie na głos. Nabrała tego nawyku już jako mała dziewczynka, osamotniona i wyizolowana. Przez całe lata miała nawet wymaganych przyjaciół. Wspaniałych przyjaciół. Dziewczynkę i chłopca, który był bardzo miłą, delikatną osobą i mieszkał w tropikalnym lesie. Pewnego razu ciotka Gilly stwierdziła, że widziała te dzieci bawiące się w berka wokół olbrzymiego figowca. Gilly zawsze mówiła do niej, jakby były rówieśnicami, nawet gdy Bronte miała siedem lat. Oczywiście wtedy zażartowała i obie o tym wiedziały. Bronte miała świadomość, że jej przyjaciele są jedynie wytworami wyobraźni.

Nagły podmuch wiatru wzbudził nad drogą tuman pyłu. Bronte poderwała się z miejsca i przeniosła rzeczy na pobocze. To była jej wina, że musiała iść pieszo. Lepsza śmierć niż zniewaga. Takie było jej życiowe credo. Taka się już widać urodziła - harda. Przysparzało to samych problemów, fakt, ale co z tego.

Kierowca taksówki, którą jechała, pozwolił sobie nazwać jej ukochaną, przewspaniałą ciotkę Gillian „stukniętą starą nietoperzycą”. Zaśmiewał się do rozpuku i chyba myślał, że mu zawtóruje. Właśnie dlatego wyskoczyła z samochodu bez namysłu, jak wariatka. I co z tego, że Gilly o gęstych białych włosach, niegdyś kruczoczarnych, utrzymywała, że pozostaje w stałym kontakcie z duchami przodków? Jako pełne fantazji dziecko, którego psychikę ukształtowała i rozwinęła ciotka mieszkająca na odlu-

dziu, Bronte czuła, że duchy rodziny McAllisterów towarzyszą im zawsze i wszędzie. Spędzały we dwie dużo czasu, chodząc po terenie dawnej plantacji trzciny cukrowej, zanurzając się w tropikalne lasy graniczące z rodzinną posiadłością. Widywano je nawet na głównej drodze ginącej w dżungli. Odstraszały ponoć turystów, ale miejscowym nigdy nie przeszkadzała ich obecność.

Gilly, mimo samotniczego trybu życia, uznawana była za swoją na tym dzikim obszarze, wręcz legendarnym jeśli chodzi o liczbę zamieszkujących go odmieńców. Ciotka Bronte była zielarką i znachorką. Plantacja, dwieście arów, które pozostały z początkowych upraw, zainteresowałyby wielu inwestorów, gdyby kiedykolwiek wystawiono ją na sprzedaż, ale Gilly trwała dzielnie na swojej ziemi, żyjąc bardzo oszczędnie. Większość pieniędzy, jakimi kiedyś dysponowała, rozeszła się. „Żyję za długo”, mawiała ciotka i jak mogła, ratowała swój uszczuplający się z biegiem lat kapitał produkcją ziołowych nalewek, miksatur, naparów, maści, kremów i balsamów. Leczyła nimi kobiece dolegliwości, nawet te najbardziej nieprzyjemne, jak na przykład „piekielna świerzbączka”. Pół wieku temu Gilly stanęła przed ołtarzem, lecz ukochany się nie zjawił i od tamtej pory mężczyźni przestali dla niej istnieć.

Bronte również nie przepadała za mężczyznami. Dziwne, że kogoś w ogóle obchodzili. Gorzko się na nich zawiodła, choć żaden nie wystawił jej do wiatru, tak jak narzeczony ciotkę. Przeciwnie. To właśnie ona uznała rysującą się przed nią perspektywę małżeństwa za absurd. Na tydzień przed ślubem odwołała wesele, o którym ty-

le się mówiło, ściągając na swoją głowę straszliwy gniew matki i ojczyma. Zrobiła z nich durniów, jej decyzja wydała się im niemal zbrodnią i oszustwem. Co za upokorzenie! Co za niegodziwości - powtarzali bez przerwy. A już najgorsze dla nich było to, że popsuła im szyki związane z interesami.

Nat, jej narzeczony, przeżył szok. Był nie tyle załamany, co kompletnie zdumiony. Czy logicznie myśląca kobieta mogłaby w ogóle dać mu kosza? Normalna dziewczyna gotowa byłaby zamęczyć się na śmierć, czekając w długiej kolejce na poznanie kogoś takiego jak on, Nathan Saunders. Jego matka szalała z wściekłości. Bronte nie miała pojęcia, że jej przyszła teściowa potrafi aż tak przeklinać.

- Ordynarna chamka - podsumowała ją Gilly, gdy Bronte relacjonowała swoją przeprawę z wszystkimi zainteresowanymi ślubem. Pani Saunders w grubiański sposób zażądała zwrotu pierścionka zaręczynowego z trzykaratowym brylantem. Bronte nie miała najmniejszego zamiaru go zatrzymać, pozbyła się go z ulgą, ale było jej bardzo nieprzyjemnie. A najbardziej złościła się na samą siebie za to, że aż do ostatniej chwili nie umiała zdobyć się na odwagę i powiedzieć wprost, że wcale jej nie zależy ani na związku z Natem, ani na ślubie. Pogardzała sobą za to, choć wiedziała, że powstrzymywała się ze strachu. Przed skandalem i straszliwą awanturą, przed przekleństwami ojczyma, którego nie znosiła, przed agresywną reakcją matki.

Nat był synem Richarda Saundersa, dyrektora jedne-

go z kanałów telewizyjnych, a zarazem bliskim znajomym ojczyma i jego współnikiem w rozmaitych przedsięwzięciach, a być może i machlojkach. W wyniku swojej decyzji Bronte została natychmiast wyeliminowana z gry starych wyjadaczy. Znajdowała się u progu świetnie rokującej kariery aktorskiej, lecz błyskawicznie uniemożliwiono jej dalszą pracę w filmie. W minionym roku wypłynęła jako aktorka, grając popularną postać w „Cieniach”, nagrodzonym telewizyjnym serialu policyjnym. Dwa tygodnie temu spotkał tę postać krwawy koniec. Bronte nie była już potrzebna, więc bohaterkę filmu zamordowano. Taki rozwój scenariusza wywołał burzę protestów jej fanów - nie miała pojęcia, że było ich aż tyłu - ale cóż, zniesławienie dwóch wpływowych rodzin nie mogło ująć jej płazem.

Matka urządziła Bronte takie piekło, jakby za główny cel swego życia uznała zniszczenie córki.

- Jak my się teraz podniesiemy z tego bagna?! - krzyczała. - Coś ty nam zrobiła! Carl tyle dla ciebie poświęcił! Ty niewdzięcznico! Ty idiotko!

A właściwie co takiego wielkiego Brandt dla niej zrobił? Nie adoptował jej. Pieniądzy na studia, utrzymanie i ubranie wystarczyło ze spadku po ojcu, Rossie McAllisterze. Miranda McAllister, wciąż piękna i seksowna w wieku czterdziestu pięciu lat - nieważne, że obchodziła te urodziny już dwukrotnie - nie została spadkobierczynią swego pierwszego męża. Majątkiem administrował prawnik i egzekutor woli zmarłego. Najwyraźniej Ross McAllister nie ufał żonie na tyle, by zostawić sprawy w jej rękach. Po latach Bronte dowiedziała się, że ojciec zmienił testa-

ment dokładnie w dniu swojej śmierci. Matka wyprowadziła się z ich domu, zabierając sprzęty i kosztowności, więc gdyby ojciec zawczasu nie zadbał o córkę, zostałyby pozbawiona wszystkiego. Tkwiała w tym jakaś tajemnica, najprawdopodobniej ponura. Bronte bardzo kochała ojca. Do tej pory czuła czasem na głowie ciepły dotyk jego ręki. Matka wyszła ponownie za mąż i we wszystkim brała stronę nowego towarzysza życia. Może nie miała wyboru? Bronte rozumiała, że tak było jej źlej. Carl Brandt był starszym, potężnym, barczystym mężczyzną o oczach barwy obsydianu, ukrytych pod ciężkimi powiekami. Słyszał z tubalnego głosu i doprawdy nikt nigdy nie musiał prosić, by powtórzył to, co powiedział. Z przyczyn najzupełniej dla Bronte niezrozumiałych ojczym podobał się kobietom, zwłaszcza tym lubującym się w tak zwanych twardych facetach. Oczywiście miał prestiż i olbrzymie pieniądze, czyli to, co zawsze pociągało matkę. Był z natury tyranem, miał cięty język i bywał ordynarny.

Rodzony ojciec Bronte, człowiek delikatny i dobry, zostawił jej kapitał na całe życie. Niestety zginął w wypadku samochodowym. Matka utrzymywała, że jej pierwszy mąż uwielbiał szybką jazdę. Opinii tej nie potwierdzali jego przyjaciele.

Po śmierci ojca życie Bronte uległo dramatycznej zmianie. Matka przez parę dni zachowywała się, jakby postradała zmysły. Małą Bronte wysłano do dziadków ze strony matki. Mieszkała jednak u nich tylko parę miesięcy. Babka uznała, że nie jest w stanie znosić dłużej „humorów” niesfornej dziewczynki. Dzieci powinno być widać, ale

nie słycać, a Bronte stwarzała „kłopoty wychowawcze”. To wtedy na ratunek pospieszyła jej Gilly McAllister, proponując, że się nią zaopiekuje. Dobra, stara „stuknięta” Gilly. Dzięki Ci, Boże, za takich „stukniętych”. Pod opieką ciotki Bronte miała przebywać do czasu, aż matka dojdzie do siebie po tragicznej stracie męża. Pozostała u niej pięć lat. Matkę widywała rzadko. Należąc do męża - należąc, gdyż Brandt traktował ludzi jak własność - Miranda McAllister musiała być na każde jego zawołanie, a babki Bronte nie widywała wcale.

- Mamy szczęście - rechotała Gilly. Ani jej, ani Bronte nie zaproszono na ślub i huczne wesele Mirandy i Carla. Odbyło się zaledwie miesiąc po tragicznej śmierci Rossa McAllistera. To tyle, jeśli chodzi o rzekome nerwowe załamania matki. Podejrzanie szybko na świecie pojawił się Max, przyrodni brat Bronte. Bronte i Gilly, odizolowane w głuszy na dalekiej północy kontynentu, dowiedziały się o istnieniu chłopca rok później z... prasy.

W dniu swoich dwunastych urodzin Bronte otrzymała niespodziewany „prezent”. Matka podjęła decyzję o wysłaniu jej do ekskluzywnej szkoły z internatem w Sydney.

- Zrobiła się z ciebie kompletna dzikuska - mówiła zniesmaczone do córki. - Byłam głupia, że pozwoliłam Gilly zajmować się dzieckiem. Ona nie potrafi zająć się nawet sobą.

Z perspektywy lat Bronte musiała przyznać matce częściową rację. Faktycznie, przypominała wtedy dzikuskę. Nosiała chłopięce spodnie ze skórzanym pasem i ciężkie, mocne półbuty. W takim stroju gotowa była też chodzić



do szkoły, tyle że dyrektorka, panna Prentice, nie wpuściłaby jej za bramę.

W dniu rozstania jej ukochana ciotka płakała. Bronte zapamiętała ten moment. Gilly przygarbiła się nagle. Była zawsze taka mocna, a wtedy trzęsła się jak w febrze. Jej Gilly! Dzielna i odważna jak sam generał! Generał Alexander „Sandy” McAllister, który wstąpił się w Indiach w wojnach brytyjsko-afgańskich. „Sandy” był jednym z ulubionych przodków Gilly. Wyobrażała sobie, że po długiej peregrynacji po Indiach duch generała zamieszkał na stałe w parnych, tropikalnych lasach, dzielnie stawiając czoło australijskim cyklonom.

Bronte zarzuciła torbę na ramię i podniosła walizeczkę, którą - jako zbyt ciężką - podarowała jej matka, Matce imponowało, że jest żoną bardzo bogatego mężczyzny. Bogaci faceci rządzą światem. Majątek stanowi o człowieku. Brandt rozpieszczał ją nie bez powodu. Przyjemnie mu było pokazywać się z taką żoną - urodziwą i elegancką. Wydawał na nią krocie, chociaż nie był hojny z natury. Nigdy nie był szczodry dla Bronte. Mogłaby sobie chodzić w łachmanach, niewykształcona i zaniedbana. Co gorsza, niegodziwie traktował również własnego syna. Biedny Max. Nie odziedziczył po ojcu obrzydliwych talentów i przebojowości. Bronte krajało się serce, kiedy musiała zostawić piętnastoletniego brata samemu sobie. Na szczęście gdy zamieszkał w internacie, trochę odechnął. Nie chciał wracać do domu nawet na święta, zapierał się, jak mógł. Miranda czuła się głęboko urażona. Żyła w świecie iluzji, uważała się za dobrą matkę..

Moja żałosna, nieudana rodzina, myślała Bronte. Zawsze dziwiło ją, że z urody jest bardzo podobna do matki, chociaż nie odziedziczyła nic z jej charakteru ani stosunku do życia. To ciotka Gilly pokazała jej świat wartości, otoczyła ją miłością i zrozumieniem.

Bronte ruszyła w drogę, przypominając sobie, że ciotka zawsze nazywała ją zuchem. W dzieciństwie śmieszyło ją to. Od razu pokochała to miejsce. Był to rajski ogród, z węzami, jak przystało na prawdziwy raj. Przybrzeżny pas na północ od zwrotnika Koziorożca był porośnięty tropikalną roślinnością. Bronte uwielbiała tę bujność. Przepych kwiatów, jaskrawo upierzone ptactwo, cały ten koloryt.

Obie strony drogi wiodącej do plantacji porastała płomienna bugenwilla. Zresztą dojazd ten trudno było nazwać drogą. W czasie ulewnych deszczów stawał się nieprzejezdny. Chmury przecudownych owadów pokrywały ogrodzenia, płoty, drzewa i stare zbiorniki na wodę. Tęcza kolorów. Wszędzie. Pomarańczowy. Wiśniowy. Szkarłat. Róż. Z jednego ze starych zbiorników, który stał na opustoszałym polu, zwieszały się kaskady powoju o niebieskofioletowych kwiatkach. Taki kolor mają twoje oczy, mówiła jej w dzieciństwie Gilly.

Przed laty rozległe pola porastała trzcina cukrowa, w porze zbiorów wyższa od człowieka, ale upraw niestety zaniechano na długo przed narodzinami Bronte. Gilly odziedziczyła plantację, która niegdyś przynosiła rodzinie ogromne dochody. Majątek przylegał do lasu, w którym gnieździły się żółte wilgi. Właśnie dlatego w późnych la-

tach osiemdziesiątych XIX wieku farma otrzymała nazwę Wilga.

Kiedyś znałam tę ziemię jak wnętrze własnej dłoni, myślała Bronte. Gilly wszędzie ją z sobą zabierała. Do lasu, gdzie zbierała zioła, nad rzekę, u której ujścia rodziły się wielkie krokodyle ludojady, na piękne białe plaże, na wysepki Wielkiej Rafy Koralowej, gdzie uczyła się pływać i nurkować. Ciotka nauczyła ją jeździć konno i strzelać. Broń przechowywała pod deską podłogową.

- Kiedy wreszcie dowlokę się do domu, będę jak ostatni wrak - mruknęła pod nosem Bronte. - Może by tak rzucić się najpierw do wody, do laguny między wodne lilie. Najlepiej nago.

W pobliżu farmy i tak nigdy nikt nie przechodził, a Gilly miało nie być dziś w domu aż do późna. Umówiła się na wizytę u okulisty w miejskiej klinice. Bronte bardzo się niepokoiła. Ciotka miała zawsze doskonały wzrok i nigdy na nic się nie skarżyła. Teraz też mówiła, że to nic ważnego. Starość, ot co. Była nawet gotowa odwołać wizytę, ale Bronte nie chciała o tym słyszeć. Na następną trzeba by było czekać przynajmniej sześć tygodni.

- Taki dzień! Przyjeżdżasz, skarbie, a ja właśnie wtedy muszę wyjechać - denerwowała się Gilly.

Bronte uspokajała ciotkę, mówiąc, że weźmie ze stacji taksówkę. Z Sydney do Brisbane przyleciała samolotem, ale dalszy odcinek drogi postanowiła przejechać dalekobieżnym pociągiem. Jechało się nim bardzo wygodnie. Bronte była pewna, że tak samo luksusowo dotrze do samych drzwi domu. I stałoby się tak, gdyby ten gbur taksówkarz nie na-

zwał Gilly „starą nietoperzycą”. Pot dosłownie zalewał jej oczy. Postawiła walizkę, żeby poprawić kapelusz, gdy raptem usłyszała wyjeżdżający zza zakrętu pojazd. Odwróciła się i zobaczyła terenowy samochód z napędem na cztery koła zbliżający się do niej w tumanach czerwonego pyłu. Dziwne, bo Gilly nie dysponowała żadnym nowoczesnym autem. Jeździła od niepamiętnych czasów starą półciągarówką, która jakoś nie chciała się rozlecieć. Czasem tylko trzeba było wymienić opony.

Tymczasem nieznanemu samochodowi jechał prosto na nią. Kierowca domagał się przejazdu. Niestychane! Żądał, żeby ona, McAllisterówna, ustąpiła mu miejsca i zeszła z własnej, prywatnej drogi. Po śmierci Gilly ten majątek miał należeć do niej. Zamierzała tu zamieszkać i być jak jej ciotka zielarką. Może znachorką.

Kierowca, widząc, że Bronte stoi uparcie na środku drogi, zachował się rozsądnie i zjechał na trawiaste pobocze. I całe szczęście, gdyż kurz opadł, zanim znalazła się w chmurze pyłu. Czy ten człowiek w ogóle wziął to pod uwagę? W deszczowe dni w mieście właściciele czterech kółek jakby na złość przyciskali pedał gazu przed przejściem dla pieszych.

Kierowca był mężczyzną. Młodym, co mocno ją zdziwiło. Co taki ktoś mógł robić na terenie majątku McAllisterów, zwłaszcza gdy Gilly przebywała poza domem?! Bronte natychmiast pomyślała o strzelbie ciotki. Ten ktoś mógł być niebezpieczny, poszukiwany przez policję, a plantacja znajdowała się na kompletnym odludziu. Wy-skoczył z samochodu, wciskając kapelusz niemal na oczy.

Oceniała go na trzydzieści lat. Był wysoki. Barczysty. Szczupły. Zgrabny. Chyba świetnie wysportowany. Myśliwy? Łowca krokodyli? Opalony na brąz. Wyglądał na faceta, który poradziłby sobie zawsze i wszędzie. W dodatku był diabelnie przystojny. Pot zalewał jej oczy, ale nie była ślepa. Prosty nos, wyraziste rysy twarzy, pełne usta.

- Cześć! - „Człowiek czynu”, jak zdążyła nazwać go w myślach, patrzył na nią z uśmiechem tak przyjaźnie i ciepło, że aż to nią wstrząsnęło. Odpowiedziała mu wrogim spojrzeniem i groźną miną na wypadek, gdyby zaczął się czepiać. - Steven Randolph. Jestem przyjacielem twojej ciotki - przedstawił się.

Bronte ani drgnęła.

- Znam nazwiska przyjaciół Gilly - odpowiedziała najchłodniej, jak umiała. — Randolph? Nigdy o tobie nie słyszałam.

—Być może cioteczka chciała ci zrobić niespodziankę. - Uśmiechnął się, jakby jej widoczna niechęć wydała mu się zabawna. Bielusieńkie zęby. Proste. Mocne. Dlaczego ją tak irytował? - Bronte, tak? - Było to raczej stwierdzenie, a nie pytanie.

- Moje gratulacje! - warknęła opryskliwie i nagle poczuła się nieprzyjemnie. Czyżby udzieliło jej się nieokrzesanie ojczyma? Okropność!

Nieznajomy znów się uśmiechnął.

- W domu Gilly są wszędzie twoje zdjęcia. Tak się składa, że widziałem cię też w telewizji, w serialu. Grałaś naprawdę świetnie. W finale o mało nie pękło mi serce.

- Czy moglibyśmy nie rozmawiać o mojej dawnej pracy? - Bronte zamrugała nerwowo.

- Jasne. Ale pozwól, że powiem, co myślę. Zrobili ci świństwo. O zerwanych zaręczynach też zapewne nie chcesz pogadać?

Bronte osłoniła oczy dłonią.

- Usiłujesz mi dogryźć, czy też tak po prostu wyszło?

- Myślałem, że to była twoja decyzja. - Randolph wyglądał na zaskoczonego. - Czy zrozumiałem coś niewłaściwie? Jeśli tak, to bardzo mi przykro, ale powiem szczerze: Nie żal mi Saundersa. Dałaś mu kosza, i świetnie.

- Doprawdy? - Bronte miała się nie udusiła. - A to niaby dlaczego?

- Znam tę rodzinę. Niemożliwe, żebyś chciała do niej wejść.

- Dziękuję za duchowe wsparcie, ale to musztarda po obiedzie. Oszczędź sobie drogi. Gilly nie ma teraz w domu.

- Wiem, jest u okulisty. Wiozę jej zakupy, a ty naprawdę powinnaś jak najszybciej zejść ze słońca. Dlaczego w ogóle idziesz pieszo, i to w pantoflach na obcasie?

- Lubię się gimnastykować. A co? Nie można? - odburknęła ze złością.

- Tylko mi nie mów, że taksówkarzowi nie chciało się jechać po tych wertepach. Kto to był? Opisz go.

- I co? Dasz mu wycisk?

- Daj spokój i wsiadaj. Podwiozę cię do domu. - Chwyć ciężką walizkę i umieść ją na tylnym siedzeniu. - No, rusz się — zachęcił przyjaźnie. - Jeszcze trochę, a spieczesz się jak rak

- Nic mi nie będzie - powiedziała Bronte już w samochodzie, gdy Steven wyjeżdżał z pobocza. - Mam oliwkową karnację. Spędziłam tutaj wiele lat.

- Wiem. - Uśmiechnął się szeroko. - Bronte w siodle. Bronte karmiąca kangurzątko, które straciło matkę. Bronte mierząca ze strzelby. Miałaś wtedy chyba nie więcej niż dziesięć lat? - Zerknął na nią z niedowierzaniem. - Bronte w dżungli wśród paproci. Bronte na wieczorku poezji, gdzie zebrała wszystkie nagrody.

- Oglądałaś te stare zdjęcia?

- Są naprawdę kapitalne, - Chłonał ją wzrokiem. Była jeszcze piękniejsza niż w telewizji. I te jej oczy! Miały kolor. .. no właśnie, jaki? Powoju, obrastającego płoty Wilgi? - A Gilly cię uwielbia.

- To ja ją uwielbiam! Nie przeżyłabym bez niej. - Bronte pożałowała, że pozwoliła sobie na spontaniczne zwierzenie.

- To smutne. - W głosie Stevena usłyszała zainteresowanie i współczucie. Nie było jej potrzebne.

- Nieważne. Przepraszam, że w ogóle to powiedziałam - odburknęła niechętnie. - Zostaw swoje opinie dla siebie.

- Coś ci we mnie nie odpowiada? - zapytał takim tonem, jakby chciał naprawdę zrozumieć jej nieprzyjazne zachowanie. - Gilly się zmartwi, kiedy zauważy, że nie możesz znieść mojego widoku.

- Wybacz, jeśli zachowuję się niegrzecznie... - Bronte spaşowiała. - Przepraszam, to przez ten upał.

Jej piękna skóra błyszczała od potu. Pod lepiącą się do ciała zieloną bluzeczką z owalnym wycięciem pod szyją

preżyły się piersi. Żółte obciste dzinsy w kwiaty podkreślały długie nogi.

- Myślałem, że lubisz taki skwar.

- Owszem, ale nie wtedy, gdy niosę bagaż.

- Ten taksówkarz cię obraził?

- Koniecznie musisz to wiedzieć?

- Chciałbym. - Jego czyste zielone oczy prześlizgnęły się po jej twarzy i ramionach. W spojrzeniu tym nie było nic otwarcie zmysłowego, lecz odczuła coś zbliżonego do seksualnego podniecenia. Nie wolno było się z tym zdradzić.

- Nazwał ją stukniętą starą nietoperzycą. Wygłupiał się. Nie ma o czym mówić.

- Jesteś pewna?

- Tak. A tak w ogóle, panie Randolph, to co pan tutaj porabia?

- Steven, proszę - odparł z wyraźną kpina. - Albo Steve, jak wolisz. Gilly mówi do mnie Steven. A w ogóle to buduję tutaj obiekty turystyczne. Jestem przedsiębiorcą.

- Chyba nie jednym z tych prymitywów... - Bronte niemal zapadła się w fotel.

Parsknął śmiechem.

- Raczej nie. Nie niszczę krajobrazu. Jestem zwolennikiem rozwoju, ale mam dość konserwatywny zapatrywania. Lubię piękną architekturę, przyrodę i uczciwy biznes.

- Ciekawe. Myślałam, że tego wszystkiego nie da się pogodzić. Nie mogę też sobie wyobrazić, jakim cudem pozyskałaś przyjaźń Gilly. Chyba że moja ciotka dysponuje czymś, na czym ci zależy.

- Na przykład czym?



- Ziemią. Plantacja jest bardzo zapuszczona, ale w dzisiejszych czasach, gdy turystyka rozwija się w szalonym tempie, to bardzo cenna parcela. Mógłbyś zbudować tu turystyczny raj. Powiem więc wprost. Ciotka zapisze mi wszystko w spadku.

- Wiem. I na pewno bardzo ją za to kochasz.

- Mówiła ci o tym? - Fakt, że Gilly lubiła tego faceta, wyprowadzał Bronte z równowagi. OK, miał charyzmę, ale czy to wystarczy, żeby zwierzać mu się z tak poufnych spraw?

Zdjął kapelusz i rzucił na tylne siedzenie. Jego włosy miały kolor ciemnego mahoniu. Słońce wydobywało z nich delikatny miedziany połysk. Były gęste, proste, ładnie utrzymane.

- Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, ile z sobą rozmawiamy - potwierdził jej najgorsze domysły.

- Nie żartuj. Nigdy o tobie nie wspominała, naprawdę.

- Miałaś wyjść za męż...

- Chyba nasz Nata Saundersa nie tylko ze słyszenia, a na pewno lepiej niż mnie.

Przejechali przez bramę Wilgi.

- Ktoś naprawił zawiasy - mruknęła Bronte pod nosem.

- Kiedy ostatnio odwiedzałam Gilly, a było to mniej więcej pół roku temu, lewa strona bramy była podparta cegłą.

- Czasem się na coś przydaje - zakpił Steven.

- Do licha! - Bronte prawie go nie słyszała, rozglądając się wokół. - Tyle się tu zmieniło! Ktoś zrobił wielkie porządki.

Dżungla, która podchodziła już do plantacji i mogła

wchłonać drewniane zabudowania, została wycięta. Kawał parceli został odsłonięty. Niesamowite!

Wysypany żwirem podjazd, wzdłuż którego rosły cudowne poinsecje, zamienił się w szeroką aleję dochodzącą do samego domu. Gałęzie drzew spotykały się w górze, tworząc długi, cienisty tunel. Za miesiąc miały się obsypać kwieciami. Stare figowe drzewa z lewej strony. Obrosnięte ogromnymi widłakami, rosnącymi jako epifity, oraz pnącymi się i opadającymi kaskadami pachnących orchidei. Jedno z tych drzew nazywała w dzieciństwie Ludwigiem. Na cześć Ludwiga Leichardta, słynnego badacza lasów tropikalnych.

Po prawej stronie alei znajdowały się duże skupiska magnolii i palm. Kwitły tu zawsze krzewy: oleandry, czerwone uroczyny, hibiskusy, gardenie, tibuchiny, złotokapy. Kolorowe, zbite w nieprzenikniony gąszcz zieleni. W kępach strelicji gnieździły się rajskie ptaki i dziesiątki gatunków papug. Teraz kwitły bielunie, bardzo aromatyczne, ale i trujące „anielskie trąby”. Wielkie białe kwiaty zwieszały się pojedynczo z gałęzi.

Za drzewami prześwitywał ciemnoszmaragdowy staw zarośnięty liliami. Powierzchnię naturalnej laguny zdobiły połyskujące jak spodeczki kwiaty lotosu. Wiele lat temu postawiono tam wąski mostek. Obecnie jego ułożone w romby boki zarastała niebieska ostróżka. Długie, obsypane kwiatami gałązki kładły się na wodzie.

Kępy kwitnącej lantany pozostały od łąt nietknięte. Różowy powój przyciągał motyle i owady. W ogrodzie za domem dojrzewały tropikalne owoce. Mango, papaje, bana-

ny, niespliki japońskie, gujawy, flaszowce, a także cytryny, limonki, mandarynki, grejpfruty, rozmaite gatunki pomarańczy. Były tam nawet makadamie, orzechy sprowadzone do Queenslandu z Hawajów przez pewnego przedsiębiorczego biznesmena.

- Kocham to miejsce - szepnęła Bronte. ~ To było zawsze moje sanktuarium i azyl.

- Wszyscy powinniśmy mieć jakiś azyl. Ale potem musimy wyjść z niego w świat.

Nastrój przysł.

- Chcesz powiedzieć - Bronte gwałtownie zwróciła się do Stevena - że Gilly tego nie zrobiła?

- Myślałem raczej o tobie.

- Nie rozumiem.

- Nie złość się - odpowiedział poważnie. - Po prostu przyszło mi do głowy, że może w głębi serca pragniesz zostać odludkiem.

- Raczej chciałabym odrodzić się w prostocie i czystości. Takiej, jaką proponuje buddyzm zen.

- Jesteś na to trochę za młoda. Samotność jest dobra od czasu do czasu, ale z życiem w odosobnieniu wiążą się ogromne problemy.

- Zapiszę to sobie w pamięci.

Aleja dojazdowa kończyła się, zakręcając wokół trzykondygnacyjnej fontanny. Największa misa wspierała się na czterech łabędziach. Fontanna nie działała od lat, a dziś pluskała w niej woda.

- Czy to również tobie zawdzięczamy te porządki? -

W pytaniu Bronte nie było wdzięczności. Sama czuła, że to nieładnie, ale wolała utrzymać dystans.

- Jest mi lepiej na duszy, jeśli mogę zrobić coś pożytecznego - odpowiedział. - Mówiłem już, przyjaźnię się z twoją ciotką. To mocna, wspaniała kobieta, ale ma siedemdziesiąt sześć lat.

- Nie musisz mi o tym przypominać - odburknęła. - Czy dobrze ci zapłaciła?

- To był z mojej strony dobry uczynek,

- Kawał roboty. Musiało ci to zająć parę tygodni, a może i miesięcy.

- No to co? Wchodzimy do domu? Idź pierwsza. Zraz przyjdę.

Już mną rządzi, pomyślała ze złością.

- A ty?

- Nie bój się. Wpadłem tu tylko na chwilę. Mam w bagażniku zapasy dla Gilly. Mrożonki trzeba przenieść do lodówki. Chyba ci o tym mówiłem.

- Niestety, mam krótką pamięć - oświadczyła wyniosłe, schodząc z trawy na aleję, gdzie znów uraziła sobie pałce żwirem. Popatrzyła na dom. Zbudowano go dla dużej, zamożnej rodziny, która lubiła się bawić. Utrzymanie go w dzisiejszych czasach było dla Gilly ogromnym ciężarem, choć wolałaby umrzeć, niż się do tego przyznać. Dom postawiony był na palach, co chroniło przed białymi mrówkami. Uporządkowanie otoczenia odsłoniło całą urodę budynku. Od frontu i po bokach znajdowały się werandy, a po obu stronach drzwi wejściowych wykuszowe okna. Werandy miały ozdobne, kute w żelazie bia-

łe barierki, które przez wiele lat zakrywały bujne pnącza. Dom odmalowano. Ściany odzyskały dawną lśniąca biel, a dach spokojną zieleń. Zielone były też żaluzje na stylowych francuskich drzwiach.

Samo domostwo było bez wątpienia bardzo piękne, ale malowniczości przydawało mu niezwykle położenie. Z tyłu roztaczał się widok na przesłonięte szmaragdową mgiełką wulkaniczne wzniesienie. Miało kształt stożka z pojedynczym wyrzuceniem. Gilly nazywała je dinozaurem.

Steven wniósł do domu zapasy i nawet się nie zasa-  
pał. Czasem dobrze jest być mężczyzną, pomyślała Bronte. Pudeł było co niemiara. Najwyraźniej ciotka przygotowa-  
ła się na jej przyjęcie.

- Może się odświeżysz - zaproponował Steven.

- Idź do diabła!

- No wiesz! Ależ ty jesteś opryskliwa. W niczym nie przypominasz naszej Gilly.

- Nie jestem małą dziewczynką! - rozłościła się Bronte. - A moja ciotka nie jest żadną twoją Gilly.

- Dobrze, Bronte, że nie szukasz męża.

- A co, myślisz, że bym go nie znalazła?

- Bez trudu. Przyjemnie na ciebie popatrzeć, ale...

- Ty na pewno nie masz się czego obawiać. A może już jesteś żonaty?

- Nie, ale owszem, podobam się kobietom. - Prześliz-  
nął się po niej wzrokiem. - Tyle że jestem zatwardziałym  
kawalerem. Mam jeszcze sporo do zrobienia, zanim po-  
proszę kobietę o rękę.

- Czyżby? Zaskakujesz mnie. Można by pomyśleć, że dużo już osiągnąłeś.

- Dużo? Przykro mi, ale nie. Ukończyłem prawo. Zrobiłem dyplom, ale to niewiele.

- Dlaczego zatem nie pracujesz jako prawnik?

- Marne pieniądze.

Bronte wydeła usta.

- Nienawidzę ludzi, których głównym celem w życiu są pieniądze. A skoro już jesteś taki przedsiębiorczy, to może zrobiłbyś mi filiżankę herbaty. Nie mogę pić domowej kawy. To coś smakuje jak muł z dna stawu... A przy okazji, nie wyjmuj jajek z pudełka. Lepiej przechowywać je w kartonie na półce. Swoją drogą, co się stało z kurami Gilly?

Steven odpowiedział jej wzruszeniem ramion.

- Drób nie wytrzymał konkurencji z węzami. Zwłaszcza że wasz kurnik się zawalił. Między innymi z powodu węży zabrałem się do sprzątania farmy.

- Jesteś niesamowity - powiedziała Bronte, zaszutowała i zniknęła w korytarzu. - Święty Steven. Nie mogę sobie przypomnieć dziejów jego żywota.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Co myślisz o Stevenie? - zapytała Gilly, spoglądając z uwagą w twarz Bronte.

-A co miałabym myśleć? - odburknęła; wstrzymując oddech.

- Oj, powiedz, ty mała złośnico. -. Ciotka ścisnęła ją za rękę. Siedziały w kuchni przy kawie. Gilly wróciła do domu przed kilkunastoma minutami i do tej pory rozmowa dotyczyła wizyty u okulisty. Schorzenie oczu okazało się nieuleczalne, lecz na szczęście dało się z nim funkcjonować. - Nie taka smaczna jak moja. - Ciotka krytycznie oceniła mocną czarną kawę, pociągając lekko zakrzywionym nosem. Bronte musiała się roześmiać.

- Chyba masz żelazny żołądek. Ja nie. Pijemy bardzo dobrą włoską kawę.

- Domyślam się, że Steven kupił ją dla ciebie. Pewnie wspomniałam mu, że nie lubisz mojej. Domyślny chłopak!

Bronte odstawiła filiżankę i z prawdziwym zdumieniem popatrzyła na ciotkę.

- Zakochałaś się w nim? - zażartowała.

Ciotka odpowiedziała nieoczekiwanym westchnieniem.

- Oj, dziecko... Powoli dochodzę do wniosku, że chy-

ba coś w życiu przeszło mi koło nosa. Nie powinnam była unikać mężczyzn tylko dlatego, że się raz sparzyłam.

- A ja myślałam, że żyjąc samotnie, jesteś szczęśliwa. Wszyscy cię tu znają, jesteś zielarką, leczysz kobiety, szanują cię...

- I zasłużyłam sobie na to! Absolutnie! - zachrypiała Gilly. - Czy nie poradziłam sobie z okropnymi wrzodami na nodze Hetty Banister, chociaż lekarze nie dawali jej żadnych szans? Wyleczyłam dziesiątki przypadków łuszczycy, egzemy, dermatozy. - Pochyliła się, by zabić moskita, który miał czelność usiąść na jej łydce. - Ale jeśli chodzi o ciebie... Mam nadzieję, że nie zamierzasz zostać odludkiem.

- Może będę musiała. - Bronte skrzywiła się. - Weź pod uwagę, że tydzień temu związałam sprzed ołtarza.

- Chyba tego nie żałujesz, kochaneczko? - Ciotka poprawiła okulary na nosie. W starych oprawkach miała nowe szkła.

-Przeszłam przez piekło - odpowiedziała szczerze Bronte. - Uciekłam tutaj i nie mogę ci teraz wszystkiego opowiedzieć. Nie mam siły. Musiałam wysłuchiwać ataków Mirandy - od dawna tak nazywała matkę - potem wymyślał mi Carl. Czasami napadali na mnie we dwoje. Kobieta jest głupia, jeśli wychodzi za mąż z miłości, powtarzała Miranda. Kobieta zostaje żoną, by zapewnić sobie bezpieczeństwo.

- Tyle że Miranda nie jest już młodą dziewczyną, a młoda dziewczyna czegoś takiego nie aranżuje. Ona i twój ojczym to co innego. - Gilly próbowała być sprawiedliwa.



- Małżeństwo. Bezpieczeństwo. Owszem, to dobre, ale dla nich. Uważam, że byłaś bardzo odważna, wycofując się w porę. Wskaźnik samobójstw jest w naszych czasach wystarczająco wysoki.

- Czy powiedziałaś mi prawdę, jeśli chodzi o twój wzrok? - Bronte zmieniła temat.

- Oczywiście... - Gilly wyprostowała plecy. - Zrobili mi rutynowe badania. Żadnych objawów zaćmy. Zaćma jest dziedziczna, a w naszej rodzinie nikt na nią nie cierpiał. Prawe oko jest słabsze, ale nie ma powodu do zmartwień. Kazali mi przyjeżdżać na badania co pół roku. Jestem zupełnie zdrową starą babą o mocnej konstytucji fizycznej. Może i dożyję setki, choć szczerze mówiąc, wcale mi się to nie uśmiecha. Chodź, przejdziemy się trochę przed zachodem słońca. Steven zdziałał cuda. Jestem ogromnie szczęśliwa, że mam przy sobie tego młodego człowieka.

- Widzę! - Bronte poczuła nieprzyjemne ukłucie za zdości i zniechęciła się za to. - Zapewne nie zrobił tego wszystkiego za darmo. Powiedział, że najął ludzi.

- Tak, z farmy krokodyli - rzuciła przez ramię Gilly, wychodząc na werandę.

- Skąd? - Bronte zadygotała. - Hej, co ty mówisz? Randolph nie jest chyba właścicielem farmy krokodyli.

- Skora pytasz, to ci powiem, że ta farma to naprawdę sensowny interes. Turyści lubią oglądać krokodyle i gady. Zwłaszcza Japończycy. Chika Moran przez całe cztery lata radził sobie świetnie, ale stracił partnera.

- Pożarł go krokodyl.

- Steven nie zajmuje się karmieniem tych bestii. Poma-

ga Chice w kwestiach prawnych. Zna się doskonale na ochronie środowiska i umie dogadywać się z ludźmi. Bez tego farma.

- To chyba jakiś wariat...

- O co ci chodzi, skarbie? - Ciotka zatrzymała się tak gwałtownie, że Bronte prawie na nią wpadła na schodkach werandy. - Powiedziałam ci już, że nie będzie oświadczenie zajmował się hodowlą. Rozważają z Chiką możliwość stworzenia tutaj czegoś w rodzaju rezerwatu, takiego niedużego zoo. Mógłby być z tego spory dochód.

- Zoo, mówisz? - ciągnęła Bronte tym samym sarkastycznym tonem. - Kilka lwów i tygrysów, do tego żyrafa albo i dwie. Obowiązkowo słonie. Wszyscy kochają słonie. Przydałby się też nosorożec. To jest myśl! Czy ci na przykład wiadomo, że biały nosorożec to mylna nazwa? Pierwotnie nazywał się nie biały (white), a szeroki (wide) z uwagi na rozmiary paszczy.

- Bardzo interesujące. - Gilly uśmiechnęła się tak jak dawniej, gdy w dzieciństwie Bronte czytała masę książek i ciągle przybiegała do niej z jakimś odkryciem. - Chika ma kawał ziemi, więc pomysł urządzenia zoo nie jest taki kuriozalny.

Bronte palnęła się w czoło.

- Szybki gość, nie ma co mówić.

Ciotka spojrzała na nią zdezorientowana.

- Chika? Sympatyczny facet, zgadzam się, ale zawsze wydawał mi się powolny.

- Mówię o Randolphie. A Chika... No, cóż. Ktoś, kto stracił większość palców, musi być trochę powolny.

- To było dawno. Teraz ma do pomocy synów. To duże, krzepkie chłopiska.

—Tylko że. żaden nie jest specjalnie bystry. Kto by chciał zarabiać na życie, hodując krokodyle?!

- To też sztuka, skarbie - podsumowała wesoło Gilly. - Powiem ci jednak, że plan rozwinięcia tamtej farmy to tylko jedno z przedsięwzięć Stevena. Wszedł w spółkę i postawił tu w okolicy bardzo ładny motel z restauracją. Teraz planują jakąś nową inwestycję.

- Wilga na pewno bardzo mu się podoba.

- Jeszcze jak!

Bronte zamarła. Odwróciła głowę i popatrzyła na okryte szmaragdową mgiełką wzgórze. Wszędzie wokół było tak pięknie i kolorowo. Nic dziwnego, że Steven pokochał Wilgę.

- A co teraz planuje? - Wróciła spojrzeniem do ciotki Gilly.

- Nie mogę się już doczekać, żeby ci o tym wszystkim opowiedzieć.

- Czy ma to coś wspólnego z Wilgą? Co on takiego kombinuje?

- Oj, skarbie... - Ciotka obruszyła się lekka - To był mój pomysł.

-To znaczy co?

- Posłuchaj... Farma jest duża, ja nie mam już pieniędzy, a tak bym chciała, żeby powróciło tu życie. Steven uważa, że moglibyśmy tego dokonać.

•• Nie wątpię - mruknęła ponuro Bronte, śledząc przeleatujące papugi.

- Wilga i tak będzie twoja. Albo przynajmniej ta część, która należy do mnie.

- Jak to? - Bronte gwałtownie odrzuciła włosy na ramię.

- Przecież cała należy do ciebie. Tak czy nie?

- Tak. Mówię o sytuacji, gdybym ewentualnie weszła w spółkę ze Stevenem.

- Masz zamiar hodować krokodyle?

- Wysłuchaj mnie, Bronte, bo warto. Nie jestem przecież idiotką.

- Wiem i niczego takiego nie ośmieliłabym się zasugerować...

- A Steven to nie szachraj.

- Skąd ta pewność? Na jakiej podstawie miałybyśmy mu zaufać? Dobry wygląd, urok osobisty - owszem, tego mu nie brakuje, ale... Czy ty go dobrze wy badałaś? Sądy mają masę roboty ze ściganiem urokliwych oszustów.

- Dziecko kochane! - Wybuchnęła ciotka. - A czy ja o tym nie wiem? Od lat nachodzą mnie różne podejrzane typy. Na naszych terenach toczy się teraz ostra walka o ziemię. Agencje nieruchomości dwoją się i troją. Do tej pory nie dałam się skusić, ale myślę, że pora zainwestować. Chcę ci coś po sobie zostawić.

Bronte aż jęknęła, przerażona myślą, że Gilly mogłaby uwikłać się w jakieś finansowe zobowiązania.

- Gilly, proszę cię... Mną naprawdę nie musisz się przejmować - Wybuchnęła zdenerwowana.

- A dajże spokój! Przejmuję się twoimi sprawami od tyłu lat i nagłe miałby mnie przestać obchodzić twój los?! Miranda wyszła za mąż za bogatego człowieka, ale nie są-

dzę, żeby zapisał ci coś w testamencie. Twoja matka musiała się zgodzić na postawione przez niego warunki. Podpisała zapewne intercyzę.

Bronte skinęła głową.

- Tak, wiem. Chociaż szczegółów nie znam.

- Naturalnie, że nie znasz, ale wierz mi, ustalenia były dla niej upokarzające.

- W porządku, Gilly. Rób, jak chcesz. To twoja ziemia, twoja sprawa.

Żeby się uspokoić, Bronte podeszła bliżej do cudownych starych paproci.

- Nie zrobię nic, co ci będzie nie w smak. - Ciotka podeszła do niej.

-Gilly, zrozum... Nie znamy tego człowieka. Powiedział mi, że z wykształcenia jest prawnikiem. To oczywiście dałoby się jakoś tam sprawdzić, ale jest też inna, dość tajemnicza sprawa. On twierdzi, że zna rodzinę Nata i że na pewno nie chciałabym wejść w takie koligacje. Mówił tak, jakby świetnie znał Saundersów.

- Dziwne, nigdy mi o tym nie wspominał...

- Za to ty opowiedziałaś mu o mnie wszystko. - Bronte starała się nie okazywać zdenerwowania. Wiedziała, że ciotka jest z niej bardzo dumna.

- Kochanie moje... Tutaj wszędzie, dokądkolwiek wejdiesz, zobaczysz swoje zdjęcie. Występowałaś w serialu... Podobno jestem osobą znaną, ale w porównaniu z tobą... Steven też zwrócił na ciebie uwagę. Mówi, że jesteś bardzo ładna i uważa cię za wielką aktorkę.

Bronte roześmiała się lekceważąco.

- Nie jestem żadną wielką aktorką. Wielką aktorką trzeba się urodzić, tak jak moja matka. Mam odrobinę talentu i jestem fotogeniczna, to wszystko. Nie jestem w ogóle nikim ważnym!

- Cały problem w tym - Gilly przytuliła ją do siebie - że jesteś zbyt skromna. Daj sobie szansę. Pod koniec grudnia kończysz dwadzieścia trzy lata. Zawsze myślałam, że rodzice powinni ci dać na imię Noelle, ale Miranda miała fioła na punkcie powieści „Wichrowe wzgórze” Emily Bronte.

- Wiem. Często mówiła, że to jej ulubiona książka, chociaż nigdy nie widziałam, żeby czytała co innego.

- Miranda i książki? - zadrwiła Gilly. - Ten megaloman, za którego wyszła, wymaga od niej całkowitego oddania. Ale wróćmy do Stevena.

- Jak długo go znasz?

- Nie wiem. Mam wrażenie, że od zawsze. Mieszka tutaj już od dość dawna, ale poznaliśmy się bliżej chyba w czerwcu. Byłam w mieście na zakupach. Wychodził z supermarketu i zapytał, czy może popchać mój wózek.

- Wspaniale - powiedziała Bronte z sarkazmem. - Dobry sposób, żeby nawiązać znajomość. Prawdopodobnie wiedział, kim jesteś.

Gilly odrzuciła głowę i roześmiała się tak donośnie, że kilkanaście jaskrawo upierzonych papug zerwało się do lotu.

- A to dobre! Stevenowi na pewno nie marzył się podryw. Może i nie wyglądam na swoje lata, ale jestem stara.

Steven to dżentelmen. Pomógł mi przełożyć zakupy do bagażnika i...

- I wprosił się do ciebie.

- Nie. To ja wykorzystałam okazję, gdy pewnego dnia zobaczyłam go na ulicy.

- Gilly! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to było niebezpieczne?

- Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć najlepiej, że potrafisz się obronić. Poza tym oczy to zwierciadła duszy, a oczy tego młodego człowieka są czyste jak kryształ. Gdybym mogła ująć sobie czterdzieści lat, może i zakreśliłabym się wokół niego. - Roześmiała się i poszła w stronę błotnistej laguny, obrosniętej wysokimi trzcinami i szpalerami lili.

- Widać i po siedemdziesiątce można się zakochać - zadrwiła Bronte.

- Kpij sobie, kózko, kpij, ale słusznie się domyślasz - uśmiechnęła się ciotka. - Siedemdziesięcioletni ludzie kochają seks tak samo jak osiemnastolatki. Odpowiedni mężczyzna może rozpalić kobietę w każdym wieku.

- Niesamowite! - Bronte poczuła nagłe, że robi się jej gorąco. Pochyliła się, szukając płaskiego kamyczka, i puściła kaczkę po wodzie.

- Żartuję, skarbie. - Gilly zaśmiała się rubasznie. - Usiłuję jedynie powiedzieć ci, co czuję. Ufam Stevenowi Randolphowi tak jak tobie.

Dla Bronte było to bolesne stwierdzenie,

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, czego on od ciebie chce.

- Jeśli zgodzisz się poczekać do jutra, sam ci powie. Zaprosiłam Stevena na kolację.

Ranek. Pierwsze promienie słońca przeniknęły przez fałdzistą moskitierę spowijającą duże łóżko, kładąc się na śpiącej Bronte ciepłą, złotą smugą. Obudziły ją jednak dopiero głośne ptasie trele. Poruszyła głowę. Pościel pachniała ziołami. Ptasia orkiestra witała wstający dzień takim przepychem dźwięków, że nie dało się dłużej spać. Grały skrzypce, altówki, wiolonczele, flety, oboje, trąbki, odezwał się róg, nawet basy. Pogwizdywania. Głośne pokrzykiwania. Kwilenie drozdów, przepiękny perlisty śpiew rudzików.

Coś cudownego! Bronte przekreśliła się na plecy i leżąc, patrzyła na wysoki, piękny sufit ze sztukateriami. W pewnych miejscach tynk się wybrzuszał. Konieczny był remont. Powinna jak najszybciej zająć się tą sprawą, ale na razie... Och, jak miło było obudzić się w kochanym starym domu, rozkoszować ptasim koncertem i po raz pierwszy nie myśleć o okropnościach związanych z niedoszłym ślubem. Matka... Znowu jak cierń zakłuł ją brak wsparcia i miłości z jej strony. Natomiast nigdy nie wyrzuciła z serca uczucia dla zmarłego ojca. Płynęło w niej przez całe życie, jak rzeka. Niemożliwe, żeby ojciec, jak plotkowano, popełnił samobójstwo. Niemożliwe, żeby zdecydował się na taki krok. Ross McAllister nie zostawiłby na pastwę losu siedmioletniej córeczki. Bolało ją to tak strasznie, że nie dopuszczała do siebie myśli o tym, co łączyło matkę z Brandtem przed śmiercią ojca. Kto zdrowy na umyśle chciałby mieć takiego łotra za kochanka?

Odrzuciła cienkie przykrycie i znów owionął ją piękny zapach. Wyciągnęła brzegi moskitiery spod materaca



i postawiła stopy na chłodnej, wypolerowanej na błysk podłodze. Z największą ochotą wsiadłaby teraz na konia i objechała na oklep całą plantację. Niestety. Gilly była zmuszona sprzedać Cygankę, pełną wigoru klaczkę, i Diabola, wałacha, który wcale nie przypominał diabełka, był śliczny i spokojny. Ciotka twierdziła zawsze, że koń i jeździec powinni się wzajemnie lubić, a w przypadku Cyganeki i Bronte było to faktem. Dzięki wpojonym przez Gilly zasadom Bronte jeździła konno świetnie, co imponowało Natowi... Dziwne, że w ogóle pojawił się w jej życiu. Gdyby potoczyło się ono normalnie, gdyby nie została pasierbicą Brandta, nigdy by go nie poznała.

Sięgnęła po jedwabne kimono leżące w rzeźbionej szafeczce w nogach łóżka i pofrunęła korytarzem do staromodnej łazienki. Zapamiętała z dzieciństwa duże, zielone żaby, które od czasu do czasu rezydowały w wannie. Gilly nie przeszkadzały ani żaby, ani węże, ale Bronte nie była taka łagodna. Chciała mieć wannę wyłącznie dla siebie.

Puściła zimny prysznic. Zapowiadał się kolejny gorący dzień, ale wiedziała, że szybko się zaaklimatyzuje. Wróciła do pokoju, włożyła białe płócienne szorty i wyrzuciła na nie luźną bluzkę w biało-niebieskie paseczki. Ściągnęła ją w talii skórzanym paskiem i związała włosy w gruby koński ogon. Leciutko pociągnęła usta szminką, wsunęła na nogi tenisówki, i już była gotowa. Każdy element jej ubioru był kosztowny, lecz równie szczęśliwa czułaby się w byle łażu. Zapamiętała, jak nienawidziła sukienek, które wkładała do szkoły, a jeszcze większą odrazę budziły w niej mundurki obowiązkowe w szkole z internatem.

Koleżanki pochodzące z zamożnych rodzin próbowały jej dokuczać. Szybko jednak przekonały się, że Bronte, kiedy się ją rozzłości, nie zapomina języka w buzi. Gilly zawsze namawiała ją, żeby mówiła innym otwarcie to, co myśli. Później, ponieważ naprawdę lubiła się uczyć, szkolne koleżanki musiały przyznać, że jest inteligentna. Prawdę powiedziawszy, uchodziła za prymuskę. Ponośliła natomiast liczne klęski w kontaktach z ludźmi.

Ranek upłynął na sprzątanii. Mimo największych starań, by utrzymać jaki taki porządek, w domu panował lekki bałagan. Gilly miała zawsze problem z wyrzucaniem czegokolwiek. Potem objechały plantację starą półciążarówką. Samochód prowadziła Gilly, jadąc na łeb na szyję, tak że Bronte modliła się w duchu albo krzyczała, ale ciotka nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Uważała się za znakomitego kierowcę. Przez ponad pięćdziesiąt lat nigdy nie miała wypadku. Zdaniem Bronte ciotka zawdzięczała to bardziej tutejszym drogom, które służyły głównie jej samej, niż swoim umiejętnościom. W dużym mieście nie miałyby najmniejszych szans.

Większą część dwustuakrowej posiadłości porastała niewiarygodnie zielona dżungla.

- Istny raj dla goryli. Byłyby tu bardzo szczęśliwe - zakpiła Bronte,

- Mówisz serio, kochana? - Gilly w szalonym tempie zjechała w bok.

- Goś ty! - roześmiała się Bronte. - Słuchaj, może teraz ja poprowadzę. Pozwolisz?

- Mowy nie ma, złotko. Znam tu każdy wybój i każdy rów. Ty nie,

- Owszem. Ale jeden prawie przegapiłaś.

- Kiedyś - Gilly zignorowała przytyk - uprawa trzciny cukrowej zajmowała 60, 70 hektarów. I wszystko poszło z dymem. Niesamowite! Wielkie, pomarańczowe płomienie na tle nocnego nieba. Teraz w wielu miejscach trzcina odrasta i nadawałaby się do zbioru, nie zebrana kładzie się na ziemię, tworząc pokłady naturalnego nawozu. Zmniejsza to erozję gleby, ale i tak w porze deszczowej pola rozmywa woda. Szkoda, że nie jest tu tak, jak za dawnych lat.

- Za to kangury i strusie mają powód do radości - powiedziała Bronte.

- Co się tak spinasz? - odcięła się ciotka, zmieniając biegi. - Boisz się? Ze mną nic ci nie grozi, dziecinko. To jest nasz świat.

- Szkoda, że nie widziałam Wilgi w czasach jej świetności.

- Tę świetność dałoby się przywrócić - odparła ciotka, zerkając na nią tajemniczo. - Ceny cukru na świecie osiągnęły szczyt w połowie lat siedemdziesiątych, niedługo przed twoim urodzeniem. Pamiętam dobrze uroczystości w Mackay w 1982 roku, na okoliczność dwudziestopięciolecia handlu cukrem, które zaszczycił swą obecnością diuk Edynburga. Przystojny był, nie ma co. Wilga przynosiła wielkie dochody z upraw. Pamiętam też okres prosperity z czasów mego dzieciństwa. Żyliśmy tu jak panowie i władcy we własnym królestwie.

A potem przysłała wojna. Resztę znasz. McAllisterowie poszli na front. Do wojska powołano czterech, mojego ojca i jego trzech braci. Do domu powrócił tylko jeden, wujek Sholto. Starał się, jak mógł, ale odniósł na wojnie ciężkie rany i do końca życia nękały go bóle. Mój brat, a twój dziadek, przejął gospodarstwo jako bardzo młody człowiek. Zmarł w 1979 roku, potem już nikt nie zajmował się uprawą trzciny cukrowej. Ross, twój tato, pragnął zawsze innego życia. Był zdolny, ambitny, został architektem. Często myślę, że gdyby nie wyjechał z farmy, byłby dziś wśród żywych.

Bronte ścisnęło się serce.

- Och, Gilly, po co to mówisz.

-Przepraszam cię, kochanie. Nie chcę cię urazić, ale nigdy nie wybaczę Mirandzie tego, co zrobiła mojemu bratankowi.

- A co zrobiła? - spytała cicho Bronte.

- Zniszczyła go!

- Naprawdę tak uważasz?

- Fakty mówią same za siebie. - Gilly smutno potrząsnęła głową. - Miranda udaje, że Max urodził się jako wcześniak, ale obie wiemy, że było inaczej. Ross nie popełnił samobójstwa. Nie wierzę w to; za bardzo cię kochał. To był wypadek. Udręczony człowiek zapomina o ostrożności.

- Matka mówiła, że kochał szybką jazdę.

- Musiała coś powiedzieć, no nie? - W głowie Gilly zawibrował tłumiony gniew. - Ross rozbił się przez nieuwagę, bo myślami był gdzie indziej!

RS

-Jako kucharka, jestem beznadziejna. Zapomniałaś? Miałam nadzieję, że ty przygotujesz poczęstunek.

- Co takiego?! Przyjeżdżam do ciebie z wizytą, a okazuje się, że mam dogadzać niejakiemu Stevenowi Randolphowi. W takim razie wybieraj. Może być mięso z kangura albo przysmak z ogona krokodyla ze smażonymi warzywami.

- Żartujesz? - zaniepokoiła się Gilly. Jej ulubionym daniem były zawsze gotowane jajka.

- Nie trap się. Przygotuję coś super. O której ma się zjawić ten twój ideał?

- Będiesz dla niego miła, prawda? - Gilly była wyraźnie podenerwowana. - Powiedziałam, żeby przyjechał koło siódmej. Wypijemy drinka na werandzie, a na kolację przejdziemy do domu. Steven jest świetnym kompanem, ty też będziesz się dobrze bawić, zobaczysz.

Bronte spojrzała na ciotkę sceptycznie.

- Wiem tylko jedno. Przyjrzę mu się bardzo uważnie.

Bronte nie bardzo wiedziała, jak powinna się ubrać. Nie miała zamiaru stroić się dla mężczyzny, nie chciała jednak urazić ciotki. Rozłożyła więc na łóżku dwie ładne sukienki i przyjrzała im się. Jedna uszyta była z białego szyfonu w duże czerwone kwiaty i zielone liście. Druga miała prostą obcisłą górę i asymetryczną spódnicę. Kupiła ją z uwagi na kolor, głęboki fiolet, który cudownie podkreślał barwę oczu. Ale nie! Nie dla psa kiełbasa, pomyślała ze złością. Uznała, że wystarczy, jeśli pokaże mu się w stroju, który nazywała piżamą - opalizujących sza-

rych spodniach do połowy łydki i topie na ramiączkach. Kiedy weszła do ogromnej, staroświeckiej kuchni, ciotka zachwyciła się jej wyglądem.

- Ale klawo - powiedziała. - Ładnie ci w spodniach. Powinnaś wiedzieć, że ja za młodu też miałam świetną figurę. Wspaniałe włosy, cerę... Do licha, nie mam pojęcia, czemu mój narzeczony mnie nie chciał. Byłam piękną kobietą.

-I nadal jesteś. - Bronte uśmiechnęła się. - A ten twój chyba nie miał oczu. W każdym razie zachował się niezbyt elegancko.

- Elegancki to on był — parsknęła Gilly. - Myślę, że chciał się ze mną ożenić dla pieniędzy, ale zorientował się, że mój posag to ziemia, której nigdy nie sprzedam. A ja naprawdę się zakochałam. Często śpiewał mi piosenki, akompaniował sobie na gitarze.

- A niech to! Pierwszy raz o tym słyszę.

- Każdy ma swoje tajemnice... A właśnie, co mamy na kolację?

- Cud, że w ogóle coś się znalazło, ale nie bój się, nie zawiodę cię. Danie będzie proste, lecz smaczne. Ryba barramundi jest już w piekarniku. Powinna być gotowa za jakieś trzy kwadransy. Nafaszerowałam ją krewetkami, jajkami, śmietaną z sherry, grzybami i obłożyłam warzywami. Będzie pyszna, zobaczysz. Nie miałam jak i z czego zrobić wykwintnego deseru, ale skoro piekarnik działa, będą pieczone papaje w mleku kokosowym, przybrane drobno posiekanymi orzechami i lody z mango. Uprażyłam też miseczkę orzeszków, głównie naszych własnych

makadamii. Na przystawkę są pomidory i mozarella z sardelami. Myślę, że twój Steven będzie zadowolony.

- Niechby spróbował narzekać! Od razu wyrzucimy go za drzwi - zażartowała Gilly. Postawiła przepiękną porcelanową misę z awokado na szafce i podzwaniając srebrnymi bransoletkami, podeszła do drzwi.

-W przyszłości, kiedy naprawdę się zakochasz, będziesz wspaniałą żoną.

- Nie mam takiego zamiaru! - zawołała za nią Bronte.

Steven Randolph przyjechał z winem, belgijskimi czekoladkami i czymś jeszcze, opakowanym w tekturowe pudełko, przewiązane brązową wstążką. To coś okazało się czekoladowym tortem. Drocząc się z Bronte, stwierdził, że upiekł go sam.

- Na pewno nie!

- Oj, Bronte... - wybuchnął śmiechem. - Musiałem tak powiedzieć, żebyś przestała zadzierać nosa. Prawda jest taka, że znam pewną przemiłą damę, do której zwracam się, kiedy mam ochotę na coś słodkiego.

- Sypiasz z nią?

- Słucham?! - Steven wzniosł oczy do nieba. - Bronte, dobijasz mnie. Ta miła kobieta piecze ciasta dla mnóstwa ludzi.

- W porządku. Rzecz w tym, że nie wiemy o tobie zbyt wiele. Nazywasz się Randolph i...

- Czemu nie spytasz, czy to moje prawdziwe nazwisko?

-A jest prawdziwe?

- Nie jesteś zbyt subtelną.



- Zgadza się, ale niech to zostanie między nami. Lubię uczciwość i mam nadzieję, że będziesz ze mną szczerzy. Mówiłeś na przykład, że jesteś kawalerem. A skoro tak, to powiem wprost, nawet nie próbuj mnie poderwać. Szkoda czasu.

- -Nie ma problemu. - Roześmiał się głośno. - Nie ośmieliłbym się do ciebie startować. Zresztą musiałabyś być trochę sympatyczniejsza. Jak już powiedziałem, miło na ciebie popatrzeć, ale masz niewyparzony język. - Pociągnął nosem. - Hej, ale zapach! Coś się piecze, ale co?

- Barramundi. Dokładnie to samo, które zamówiła Gilly, wiedząc, że przyjedziesz na kolację, i które posłusznie dostarczyłeś.

- Miła niespodzianka, co? - odparł z kpiącym błyskiem w oczach.

- Miła? Nie wiem. Przekonamy się.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Bronte przygotowała pyszną kolację, ale wspaniała atmosfera była zasługą Stevena. Jedli przy stole w dużej jadalni, z której korzystano rzadko, lecz właśnie tu znajdowała się okazała kolekcja obrazów marynistycznych i piękne mahoniowe meble. Gilly jak zwykle dużo mówiła, ale również gość miał do opowiedzenia masę zabawnych historii. Po wypiciu kilku kieliszków wina Bronte rozluźniła się do tego stopnia, że co rusz wybuchała śmiechem. Czuła nawet - co za wstyd - że zaczyna lubić Stevena. Gdyby nie sprawa planów, powziętych przez ciotkę i Stevena co do dalszych losów Wilgi, mogłoby się wydawać, że sporo ich łączy. Lubili tych samych pisarzy, filmy, sztukę, podróże. Podobnie jak ojciec Bronte, Steven kochał architekturę. Przyznał, że kiedyś chciał być architektem, ale ojciec zdołał mu to wyperswadować.

- Skoro naprawdę tego pragnąłeś, to dlaczego go posłuchałeś? - Gilly pociągnęła kolejny łyk pysznego wina.

- Miałem wtedy siedemnaście lat. - Wzruszył ramionami. - A ojciec chciał, żebym studiował prawo.

- Twój ojciec jest prawnikiem?

Steven delikatnie poruszył kieliszkiem.

- Tak - przyznał niechętnie.

- Jaki to człowiek?

- Taki, z którym się nie dyskutuje. Albo mu się podporządkujesz, albo fora ze dwora.

Bronte wiedziała o takich mężczyznach wszystko.

- Chcesz powiedzieć, że się nie podporządkowałeś?

- Nie sądzisz, że wchodzisz z butami w moje prywatne życie?

- Może i tak, ale Gilly nic mi o tym nie mówiła.

- Z tej prostej przyczyny, że nie wiedziałam. Steven nie ma zwyczaju opowiadać o swojej rodzinie.

Bronte spojrzała na nią i po chwili znów przeniosła uwagę na ich gości.

— A zatem ty i twój ojciec nie jesteście sobie bliscy?

- Cóż, ojciec mnie wydziedziczył.

- Co? Co takiego? - wykrzyknęły jednocześnie.

- Musiałeś się wynieść? - Bronte ogarnęła falą współczucia.

- Nie mieszkałem w domu, ale owszem, opuściłem go. Fizycznie i psychicznie. Mam starszego brata, który jest dokładnie taki, jaki ja miałem być. Są ludzie, którzy pozwalają się ugniatać jak plastelina. Inni stawiają opór. Pozwoliłem się odwieść od architektury, ale nie pozwoliłem się wmanewrować w biznes z dużą forszą.

- Jaka to firma? - Bronte jak na szpilkach czekała na odpowiedź.

Steven uśmiechnął się.

- Nie widzę potrzeby, żeby o tym mówić. Nie ma to naj-

mniejszego wpływu na moje życie i właściwie nie wiem, po co ci o tym wszystkim opowiadam.

- No cóż, jak chcę, to potrafię każdego przycisnąć do muru - pochwaliła się Bronte. - Ale rozmowa o pracy i rodzinie wydaje mi się czymś najnaturalniejszym pod słońcem.

- Czyżby? Porozmawiajmy zatem o twoim ojczymie.

- Basta! - Gilly zadzwoniła srebrną łyżeczką o kieliszek.

- Dajmy sobie spokój z Brandtem. Grubiański cham!

Bronte popatrzyła Stevenowi prosto w twarz.

- Nie uważam tego pana za członka mojej rodziny. Nie jest moim ojcem. To mąż matki.

- Subtelna różnica.

- Dlaczego mam wciąż wrażenie, że wiesz o mnie dużo więcej niż ja o tobie? - spytała z przejęciem.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na jej pełną ekspresji twarz. Podobało mu się jej uczesanie. Ściągnięte do tyłu, wysoko upięte włosy opadały na plecy.

- Wiem tyle, ile dowiedziałem się od Gilly. Kocha cię.

- Prawda - przytaknęła serdecznie ciotka, - Bronte jest wszystkim, co mam. To mój skarb.

- W gruncie rzeczy powinni mi dać na imię Gilly. - Bronte pogładziła ciotkę po ręce.

- Za jakie grzechy? - Starsza pani Wybuchnęła śmiechem. - Oj, dziecko, dziecko.... Steven, opowiadaj dalej. Opuściłeś dom i...

- Dostałem trochę pieniędzy po matce. Zmarła na tydzień przed moimi dwudziestymi urodzinami. - Pochylił głowę. Jego spoczywająca na stole dłoń zacisnęła się nagłe w pięść.

- Bardzo to smutne. - Ciotka delikatnie pogładziła go po ramieniu.
- Burzysz się w środku, co? - odezwała się Bronte. Steven skrzywił się ironicznie.
- Nic się przed tobą nie ukryje.
- Napijmy się kawy!- Ciotka pokierowała rozmową, odchodząc od bolesnego tematu. - Steven... Mam ochotę na kawałek tego cudownego tortu, chociaż po tych pysznościach, jakimi uraczyła nas Bronte...
- O, tak - wtrącił Steve. - Kolacja była naprawdę wymienita. Moje gratulacje. Bronte uśmiechnęła się z przekorą.
- Bardzo mi zależało, żebyś był zadowolony.
- Dziękuję. Udało ci się.
- No, to co będzie z tą kawą? Które z was się ruszy?

Kawa była pyszna, a ciasto smakiem nie ustępowało wyglądowi. Potem puste filiżanki, spodeczki i nakrycia powędrowały na wózek, który Steven zabrał do kuchni. Manipulowanie ludźmi to dla oszusta czysta przyjemność, pomyślała Bronte. Kłamca! Czegoś się jednak o nim dowiedziały. Rodzony ojciec go wydziedziczył! Było to nie lada wyznanie jak na człowieka, który bardzo chronił prywatność. Ciotka, zazwyczaj tak ostrożna w kontaktach z nieznanymi, tym razem dała się oczarować. Ktoś jednak musiał być czujny.

Zasłony w dawnej jadalni były w okropnym stanie. Mocny niegdyś jedwab zblakł od silnego słońca. Na dobrą sprawę przydałoby się odnowić tu wszystko - tapicerkę,

boazerię, parkiet. W domu znajdowało się trochę bardzo pięknych sprzętów. Szafki, stoliczki ołtarzowe, eleganckie krzesła, a także chińska porcelana i ceramika oraz przedmioty z Indii i północno-wschodniej Azji, między innymi figurki birmańskiego Buddy. Znalazłoby się gdzieś nawet chińskie łoże do palenia opium. Byle jak i byle gdzie popychano dzieła sztuki europejskiej i australijskiej i niezrządkiem bardzo cenne obrazy. Dom utracił dawną świetność. Można mu było przywrócić blask, lecz koszty takiej renowacji przekraczały możliwości Gilly. Bronte również nie dysponowała fortuną. Pożegnała się z nią na zawsze, rzucając Nata Saundersa.

Steven wrócił do stołu.

- Wyglądasz na tym rzeźbionym krześle bardzo pięknie.
- Spojrzał na nią uważnie. Wiedział, że mu nie ufa.
- Cudowne, prawda? - powiedziała z zachwytem ciotka.
- Bóg raczy wiedzieć, gdzie się podziało drugie. Powinno być gdzieś w domu. Pochodzi z Indii. Jeden z naszych przodków, Sandy, to znaczy generał Alexander McAllister, przetransportował je tutaj łącznie z całą masą sprzętów.

Steven usiadł w fotelu i zwrócił się do obu kobiet.

- Słuchajcie... Dom jest przepiękny i powinien odzyskać dawny blask. Uważam, że należałoby tu stworzyć mały pensjonat. Tropikalny las, bliskość morza i Wielkiej Rafy Koralowej przyciągną turystów spoza Australii. A plantacji trzciny cukrowej i tak nikt już nie będzie poszerzać, można by w tym miejscu wytyczyć ścieżki do jazdy konno. Oczywiście, trzeba by odbudować stajnie. Kuchnia i obsługa musiałyby być pierwszorzędne; posiłki można by serwować

na powietrzu. Przez większą część roku klimat temu sprzyja. Na czas pory deszczowej pensjonat byłby zamknięty. Co jeszcze... Trzeba by, ale to koniecznie, wybudować basen, no i postawić jakieś pawilony dla personelu. Potem zrobiłoby się z nich gościnne domki, ale na razie nasi pracownicy musieliby się gdzieś urzędzić. Personel byłby nieduży - parę osób z zamieszkaniem i kilka dochodzących. Najważniejszy jest szef kuchni i ogrodnicy... Takie miejsce - cichy pensjonat z wszelkimi wygodami i domową atmosferą to coś, o co teraz zabiega zamożny turysta.

Bronie odczekała dobre pół minuty, zanim się odezwała, tłumiąc w sobie entuzjazm.

- Rozpędziłeś się, nie ma co. Tylko powiedz mi, jakim cudem moglibyśmy sfinansować takie plany. Jak ci wiadomo, Gilly nie ma żadnych ukrytych pieniędzy.

- Wiem. Zwrócę się o kredyt do banku.

- Jesteś pewien, że go dostaniesz? Bo ja twierdzę, że nie.

- Powiedzmy, że biorę to na siebie. Pieniądze szybko się zwrócą, bo mamy do zaproponowania coś bardzo atrakcyjnego.

Ciotka zachichotała, a Steven wybuchnął śmiechem.

- Myślałam, że wolno mi wyrazić własne zdanie. - Zarumieniła się, czując na sobie jego wzrok. Patrzył na nią, jakby była ubrana w sam tiul. - Gilly, powiedz szczerze. Gdybyś miała do dyspozycji sto milionów dolarów, to chyba nie chciałabyś zwałać sobie tego wszystkiego na głowę. W twoim wieku? Wyobrażasz sobie, co by się tu działo w czasie remontu i prac budowlanych? Ciągły harmider, zamęt. Wszędzie bez przerwy łaziliby robotnicy.

- Dam radę - odpowiedziała Gilly, zaróżowiona z emocji. - Schowałam się przed całym światem, umierałam za życia przez durnia, który mnie nie kochał. Ale dosyć tego! Niech się coś wreszcie dzieje.

- Na krótko - sarknęła Bronte. - Zapewniam cię, wyniosłabyś z tego więcej urazów i kłopotów niż podnień. Przywykłaś do ciszy.

- Być może mam dość. Jestem zmęczona opinią, jaką się tu cieszę... Stara, stuknięta Gilly!

- Nie jesteś wariatką! - zaproponował Steven. - Masz opinię uzdrowicielki.

- No i co z tego?! Tkwię tutaj pół wieku. Musiałam coś zrobić. - Pokręciła na palcu pięknym szmaragdowym pierścionkiem, który wkładała jedynie na specjalne okazje. Należał niegdyś do jej matki. - Bronte, czy nie chciałabyś zobaczyć Wilgi takiej, jaka była? - zapytała niemal błagalnie. - Zawsze o tym marzyłam, ale nigdy nie miałam pieniędzy. Kochana moja, przecież sama widzisz, że nasz cudowny dom za chwilę zamieni się w kompletną ruinę.

- Wcale nie. - Bronte nie ośmieliła się spojrzeć ciotce w oczy. - Trzeba tu tylko porządnie sprzątnąć i przeprowadzić parę niedużych napraw. Tak czy owak... - Spojrzała na Stevena.

- Słucham cię - podjął z rozbawieniem w oczach.

- Steven... Być może ty widzisz możliwość uporania się z finansową stroną tego wszystkiego, ale ja nie.

- Nie musimy od razu robić Bóg wie czego. Będziemy działać etapami.



- Nie, to jakaś bzdura! Gilly nie zdaje sobie sprawy, co wiąże się z takim przedsięwzięciem.

- Wiem, skarbie. W każdym razie gotowa jestem zaryzykować.

- A nie pomyślałaś o tym, że możesz wszystko stracić?

- Steven i ja nie mamy zamiaru nic stracić. Ja powierzę mu Wilgę, a on znajduje pieniądze na to, żeby spełniło się moje marzenie. Steven, w tym tygodniu, jeśli znajdziesz czas, pokaż Bronte swój motel. Zabierz ją do restauracji.

- Dajcie mi czas, muszę się zastanowić. Kocham cię, Gilly. Nie dopuszczę do tego, byś wpadła w jakieś tarapaty. Wilga jest własnością naszej rodziny od ponad wieku. Pomyśl, co powiedziałyby generał Sandy, gdybyś utraciła swoją ziemię.

- Dał mi już przyzwolenie.

- Kto? Jego duch? Duchy nie mówią.

- Może. Ale ja je słyszę. I wierzę w to, co mi podpowiadają. Uda się nam, Bronte!

Bronte popatrzyła na ciotkę i przeniosła wzrok na Stevena. W obojgu było tyle spokoju, tyle wiary...

- Słyszysz? - powiedział Steven. - Faktycznie, powinienem pokazać ci motel i restaurację. Zapraszam cię.

- Dobrze - zgodziła się, przełamując opór. - Będzie okazja, żeby omówić tę sprawę dokładniej.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Motel o nazwie „Bamboo Lodge” okazał się bardzo przyjemną niespodzianką. Bronte wyobrażała go sobie zupełnie inaczej. Myślała, że będzie to pospolite betonowe pudełko z parkingiem od frontu. Zobaczyła natomiast ciąg drewnianych gościnnych domków wkomponowanych pięknie w ogrodową zieleń. Domki otaczały restaurację, piętrowy budynek o lekkiej konstrukcji, zbliżony stylem do tajlandzkiego pawilonu. Teren był rześście oświetlony, toteż nietrudno było spostrzec, z jakim staraniem wykorzystano atuty krajobrazu - ogromne palmy, paprocie, kwitnące krzewy i tropikalne rośliny. Wejście do restauracji było przeurocze. Gości witało granie cykad, które obsiadły fasadę. Na pasie trawy o niezwykłym szmaragdowym odcieniu ustawiono dwie naturalnej wielkości rzeźby australijskich żurawi. Do budowy użyto wyłącznie naturalnych materiałów, drewna i kamienia, a całą konstrukcję przeszkłono. Obiekt wyglądał przestronnie, choć nie był duży.

- No i co powiesz? - zapytał Steven, gdy już się na wszystko napatrzyła.

- Jestem pod wrażeniem. Nie tak to sobie wyobrażałam. Żadnego porównania ze zwykłym konwencjonalnym modelem.

- Bo też nie o taki nam chodziło. - Podtrzymał ją, gdy wchodzili szerokimi kamiennymi schodami. - Chatki otaczające restaurację, tak to sobie wyobraziłem. Mojej wspólniczce takie rozwiązanie też odpowiadało.

- Wyczuwam tu coś z klimatu Azji... Kilka razy byłam z matką w Bangkoku. Znam Pukhet, Hongkong, Singapur. Mylę się?

-Azja to kolebka ludzkości. Bardzo lubię azjatycką sztukę, architekturę, kuchnię. Macie u siebie w Wildze dużo wschodnich mebli i dzieł sztuki. Duże wazy na werandzie, których Gilly używa do wyrzucania skórek od bananów, są bardzo cenne. Pochodzą, jak sądzę, z XVIII wieku. Byłoby dobrze, gdybyś zechciała przestawić je w bezpieczne miejsce.

— Wyrwałeś je z cementu, żeby obejrzeć oznaczenia?

-Nie było takiej potrzeby. Mam dobre oko. - Przystanął u szczytu schodów. - Poznasz moją wspólniczkę, Christine Ching Yee. Prowadzi restaurację i myślę, że ci się spodoba. Jest bardzo kulturalna, zna kilka języków i zna się świetnie na chińskiej kuchni. Dzieciństwo spędziła głównie w Tajlandii, u rodziny matki. Wyszła za mąż za dziennikarza, korespondenta z tego regionu. Został zabity w tragicznych okolicznościach, więc jest teraz samotna. .. Wchodzimy?

Tajlandzki klimat wyczuwało się już w holu. Restauracja nazywała się „Wanda”, od nazwy błękitnej archi-

dei, której ojczyzną była Tajlandia. Orchidee te były wplecione w oszałamiająco piękną kompozycję kwiatową stojącą w dużym niebieskim wazonie w foyer. Wśród rozmaitych gatunków lili i storczyków był też fajus, największa z australijskich orchidei oraz masa pachnących drobnych wyczyńców w rozmaitych odcieniach kości słoniowej i różu. Bronte podeszła bliżej. W przecudnej aranżacji kwiatowej spostrzegła gatunki kwiatów, których nie znała. Należały chyba do rodziny ananasowców.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła drobną szczupłą kobietę idącą w ich kierunku. Była to zapewne Christine, współpracowniczka Stevena.

- Steven - powiedziała delikatnym, śpiewnym głosem.

Pochylił się i ucałował ją w oba policzki. Ubrana była w tajlandzką jedwabną spódnicę do pół łydki, małą dopasowaną, bardzo szykowną bluzeczkę wyciętą przy ramionach i odsłaniającą brzuch oraz w żółte sandały na wysokim obcasie.

Steven przedstawił je sobie nawzajem. Christine podała Bronte rękę, skłoniła lekko głowę i uśmiechnęła się łagodnie.

- Witaj, Bronte. Tak się cieszę, że możemy się poznać. Kiedy będziesz tu następnym razem, przywieź koniecznie swoją ciotkę, pannę McAllister. Steven tyle mi o niej opowiadał. Bardzo chciałabym ją poznać. Jest podobno uzdrowicielką i ma ogromną wiedzę na temat leśnych roślin i ziół.

- Zajmuje się tym przez całe życie... Ta kwiatowa kom-

pozycja jest tak piękna, że aż brak mi słów. Czy to twoje dzieło?

Christine skinęła głową.

- Uwielbiam układać kwiaty. Znajduję w tym ukojenie. Chodźmy. Zaprowadzę was do waszego stolika. W dzisiejszym menu są specjalne przysmaki. Tak bym chciała, żeby ten wieczór sprawił ci przyjemność.

- Dziękuję, bardzo mi się podoba. - Rozejrzała się z prawdziwym zachwytem po wielkiej sali. Restauracja była pełna gości, ale nie panował w niej hałas. W stłumionym gwarze pobrzmiwały różne języki: japoński, chiński, francuski, niemiecki, angielski. Stoły nakryte były żółtymi obrusami i serwetkami niemal w tym samym odcieniu co ubiór Christine. Prawdopodobnie kolor zmieniał się co wieczór. Tekowe i bambusowe krzesła były eleganckie i wygodne. Długą ścianę zdobił wschodni, bardzo piękny parawan. Na przeciwległej ścianie, w szklanej gablocie w hebanowych ramach wystawiono kolekcję jedwabnych wachlarzy i lakierowanych pałeczek. Niektóre miały aplikacje z kości słoniowej i żywe kolory.

- Ale pięknie! - zachwyciła się Bronte. - Ile jest tych wachlarzy?

- Szesnaście - odpowiedział Steven. - Całą tę kolekcję, a także ścienny parawan Christine odziedziczyła po swojej babce Chince. W jej posiadaniu znajdują się również zbiory ceramiki i malowanych butelek. Na pewno chętnie ci je pokaże.

- Dziękuję, ale kompletnie się na tym nie znam - odparła lekko Bronte. - Christine jest naprawdę wspania-

łomyślna, pozwalając gościom restauracji podziwiać rodzinne skarby. Nie boi się, że ktoś coś ukradnie?

- Mamy tu znakomity system alarmowy, a Christine lubi sprawiać ludziom przyjemność. - Zerknął na kolekcję. —Wachlarz jest chińskim wynalazkiem, wiesz?

- Naprawdę? Gdyby mnie spytano, powiedziałabym, że pochodzi z Europy. Z Francji, Hiszpanii.

- Nie ty jedna tak myślisz. Mylą się nawet fachowcy. Najwcześniejszy znany wachlarz odnaleziono w prowincji Junan. Pochodzi z II wieku przed naszą erą, a może z jeszcze dawniejszych czasów. Wskazywałby na to jego niezwykle wzór.

Ale obryty! - pomyślała Bronte. I diabelnie zdolny.

- Nic dziwnego, że wymyślono tam wachlarz. W gorącym klimacie trudno się bez niego obyć. Starsze kobiety używają ich po dziś dzień. Gilly ma ich w domu mnóstwo. Oczywiście nie takich jak te tutaj. Są przeważnie bardzo zwyczajne i funkcjonalne, chociaż... tak, teraz sobie przypominam, widziałam kilka w oprawie z kości słoniowej.

- Dom Gilly to prawdziwy skarbiec.

Skarbiec, powtórzyła w myślach Bronte. I nie możesz się już doczekać, kiedy się do niego dorwiesz.

- Ekspozyty z kolekcji Christine to raczej dzieła sztuki niż przedmioty codziennego użytku. Eksport wachlarzy z Chin na Zachód zaczął się w XVII wieku. Christine mogłaby ci o tym opowiedzieć dużo więcej, A ja... Wiesz, widzę cię z jednym z tych wachlarzy w ręce. Oczywiście, posługujesz się nim, żeby usidlić mężczyznę.

- Twojej przyjaciółce przyszłoby to o wiele łatwiej.  
- Nie wiem. Chyba bardzo niewielu mężczyzn umiałoby się oprzeć twoim wdziękom. Który wachlarz byś wybrała? Tak, żeby pasował do tej sukienki? - Zerknął na nią. Miała na sobie sukienkę w prześlicznym fiołkowym odcieniu. Wyglądała w niej niesłychanie seksownie, a zarazem niewinnie. Była to przedziwna mieszanka, coś, z czym nigdy dotąd się nie spotkał. Bronte w ogóle budziła w nim niezwykle odczucia.

- Ten błękitny - odpowiedziała Bronte, czując, że się rumieni.

- Pochodzi z Makao. Też bym go dla ciebie wybrał. Stąd tego nie widać, ale wymalowane są na nim scenki z życia dworu. Christine ucieszy się, że podoba ci się jej kolekcja.

Bronte dotknęła polakierowanym na różowo paznokciem płatką irysa, zdobiącego stół.

- Christine. Taka piękna kobieta... Z pewnością wyjdzie kiedyś ponownie za mąż. Gdzie teraz mieszka, jeśli wolno spytać?

- Nie ze mną - odparł rozbawiony.

- Nie to miałam na myśli. - Oblała się gorącym rumieńcem.

- Owszem, to. Wyjašnjmy więc sobie otwarcie, Christine jest moją współniczką. Przyjaźnimy się, bardzo ją lubię. Jest odważna, twarda i inteligentna.

- Ho, ho - westchnęła Bronte. - Żeby tak o mnie ktoś powiedział. Ale twardych ludzi nie lubię. To ty jesteś twardzielem. Jeśli zaś chodzi o walory umysłu, to może

się zdziwisz, ale mam iloraz inteligencji wyższy od przeciętnego,

- Jasne. - Uśmiechnął się w taki sposób, że poczuła się raptem podniecona. - Czego się napijesz? Szampana?

Świetnie się bawi, pomyślała. Nie chciało się jej wierzyć w tę jego czystą przyjaźń z Christine, ale zmusiła się do spokoju.

- Z przyjemnością - odpowiedziała swobodnie, a Steven przywołał kelnera.

Kolacja była prawdziwym rajem dla podniebienia, a dodatkową przyjemność stanowił sposób podania jedzenia. Christine tylko raz zatrzymała się przy ich stoliku, żeby spytać, czy są zadowoleni, a przy okazji omiotła bystrym spojrzeniem twarz i sukienkę Bronte i delikatnie dotknęła ramienia Stevena.

- Czy mogłabym zamienić z tobą słówko, nim wyjdziecie? Potrzebuję cię dosłownie na minutkę. Bronte, chyba się nie obrazisz?

-Ależ skąd. — Gdyby nawet było jej to nie w smak, Christine zachowała się bardzo uprzejmie. Była naprawdę zachwycająca. Bronte jednak nie czuła do niej sympatii i chyba było to wzajemne. Czyżby z powodu Stevena?

Po kolacji przeszli do foyer i tam przeprosił ją na chwilę, wdając się w rozmowę ze współpracownicą. Bronte czekała i nagle odczuła niechęć do kobiety, której Steven poświęcał uwagę.

Poszli potem we dwoje na spacer alejkami. Na ogromnej kopule nieba iskrzyły się gwiazdy. Studzący powietrze nocny powiew niósł z sobą jedyny w swoim rodzaju za-



pach pieprzowych drzew, gardenii, oleandrów. Bronte czuła, jak bez jej woli ogarnia ją podniecenie. Och, jak bardzo by chciała zapanować nad tym rozedrganiem. Chwilami ogarniała ją panika. Czuła się jak nastolatka. Po fiasku, jakim skończyła się jej znajomość z Natem, Bronte wydawało się, że jest uodporniona na wszelkie romantyczne uniesienia. Pragnęła czegoś innego. Ciszy, wewnętrznego spokoju. Tymczasem ten idący obok niej mężczyzna burzył jej spokój ducha. Kiedy wymruczał, że robi się późno, przytaknęła żywiołowo.

- Gilly nie powinna być sama.

- Zawsze jest sama. - Roześmiał się, co bardzo ją zirytowało. Raptem coś żywego otarło jej się o nogi. Potknęła się i oparła o ramię Stevena.

- Och! - szepnęła. - Ale się wystraszyłam. Coś tu skacze, jakieś nocne stworzenie.

- Nie ma powodu do strachu - zapewnił ją niemal czule. - To tylko żabka. Chyba nie boisz się żab?

- Jak mogłabym się ich bać, skoro wcinałam żabie udka - powiedziała. - A jeśli już koniecznie chce pan to wiedzieć, panie Randolph, to niczego się nie boję. Wpadłam panu w ramiona, bo jest pan niewiarygodnie pociągający. Tak to odebrałeś, prawda?

- Hej, co ci się ubzdurało? - Wybuchnął śmiechem.

- Spróbuj mnie tylko pocałować! - rzuciła i nagle Steven przestał się uśmiechać. Zabłyśły mu oczy.

- Słuchaj, Bronte - powiedział bardzo miękko. - Mówisz jedno, a czujesz co innego. Słyszę to w twoich słowach przez cały wieczór. - Przygarnął ją do siebie.

- Ponosi cię fantazja - odpowiedziała chłodno.

- Czyżby? - Pociągnął ją za rękę w aksamitną ciemność, do zachwycającej przystani pod gałęziami palm. Bronte nie pamiętała już, kiedy przeżyła moment takiego podniecenia. Miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Dłonie mężczyzny, obejmujące jej twarz, były takie delikatne, takie zmysłowe... Oszałamiał ją.

- Steven... Co my tu w ogóle robimy? Nie rozumiem...

- Do licha, Bronte. Sam siebie nie rozumiem. - Jęknął cicho. - Gdyby była pełnia, można by to nazwać gorączką księżycowej nocy.

- A nie na przykład uwodzeniem z premedytacją?

Czymkolwiek to było, Steven nie miał zamiaru się wycofać, a ona nie chciała się opierać. Pokusa była zbyt silna. Ich usta się spotkały.

- Bronte... Co dalej? Co robić? Jak mamy to rozwiązać?  
- szeptał Steven.

Co robić? Czy cokolwiek zależało od niej? Przez moment nie potrafiła wyobrazić sobie siebie inaczej niż w roli niewolnicy. Niechętnie wyswobodziła się z jego objęć.

- Nie rób sobie nadziei - przestrzegła cierpko. - Nie łączy nas nic oprócz interesów. A i to niezupełnie. Twoją współpracowniczką będzie Gilly.

- Nie masz ochoty na romans?

- Nie. - Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jaka szkoda! Może i jesteś twarda, ale tak cudownie się z tobą całować. - Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Nigdy więcej nie będziesz miał okazji.

- Czyżby? - zadrwił ciepło. - No cóż, warto było spróbować chociaż raz. Tylko nie panikuj.

- Nie panikuję - powiedziała ostro. - Chodźmy, bo ktoś nas zobaczy.

- Na przykład kto? Ależ ty jesteś przewrażliwiona. - Podtrzymał ją i wziął pod rękę, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. - To jakiś cud, że tak prędko cię polubiłem, chociaż jestem pewien, że gdybyś nawet prześwieciła mnie ze wszystkich możliwych stron, to i tak byłabyś wobec mnie nieufna i złośliwa.

- Nie leży to w mojej naturze.

- I nie wynika z pobudek racjonalnych?

- Nie wiem. Być może jest w tobie coś, co mnie drażni.

- Chodzi ci o jakąś moją cechę? Przepęlnia cię głęboko ukryty gniew...

- Nikt ci nie mówi, że masz zadatki na psychoanalityka?

- Nasze postępowanie zależy w ogromnej mierze od tego, czego zabrakło nam w najwcześniejszych latach życia; Ludzie, którzy mieli smutne dzieciństwo, rzadko kiedy rozkwitają.

- Mówisz tak, jakbyś sporo o tym wiedział.

- Bo może i wiem. W okresie dojrzewania dostałem niezłe po głowie. Przeżyłem wiele sytuacji nie do pozazdroszczenia. Musiałem radzić sobie sam, zupełnie sam. Marzyłem, żeby wygrać z życiem, żeby być kimś. Nie mogłem sobie pozwolić na popełnianie błędów. Nie dany mi był ten luksus.

Bronte spojrzała na niego uważniej.

- Uniosłeś się.
- Tak, wiem. I powiem ci jedno. Jeśli mamy z sobą współpracować, to chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi.
- Przyjaciółmi? W moim życiu nie ma miejsca na drugiego przyjaciela.
- Ale z przyjaźni Gilly potrafiłaś skorzystać - odparł cierpko, czym skutecznie zamknął jej usta.

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Bronte siedziała przy stole w starej jadalni, zajęta inventaryzacją mnóstwa zgromadzonych w domu, upchniętych byle jak i gdzie przedmiotów. Do wielu musiała najpierw dotrzeć, a niektóre odkrywała przypadkiem. Były wśród nich dzieła sztuki wszelkiego rodzaju i pochodzące z rozmaitych kultur posążki, marmurowe popiersia, meble, cenne wschodnie i perskie chodniki, ogromne ilości chińskiej porcelany i kryształów, nie używane chyba nigdy komplety obiadowe, srebrne naczynia i sztuce, kolekcja miśnieńskich porcelanowych figurek, prześlicznych skrzydlatych kupidynek uzbromionych w łuki i strzały miłości. Te ostatnie znalazła wciśnięte do pudełek w rzadko otwieranej orzechowej szafie. Obok nich zapakowano kolekcję małych, ręcznie malowanych szkatułek z Limoges i ponad sto porcelanowych figurek zwierząt, głównie psów, z których słynęło hrabstwo Staffordshire.

Bronte postanowiła zinwentaryzować wszystko, co miało jakąś wartość. Rupieci nie uwzględniała. Nadawała właśnie inventarzowy numer głębokiemu półmiskowi z szerokim płaskim brzegiem i dekoracyjną płaskorzeźbą w kształcie ryby na dnie, gdy przyszła Gilly.

- Obchodź się z tym ostrożnie, kochana. To chińska porcelana z czasów dynastii Sung - powiedziała niefrasobliwie, siadając w fotelu.

Bronte odstawiła półmisek z największą delikatnością.

- Musi mieć ponad tysiąc lat.

- Prawie jak ja - odparła z uśmiechem Gilly. - To cudo znajdowało się w kolekcji Sandy'ego. Piękna robota. Jest tego w domu całe mnóstwo.

- Wiem. Dosłownie nie ma się gdzie ruszyć.

- Dobra z ciebie dziewczyna, że wzięłaś na siebie całe to sprzątanie.

- Lubię tę robotę. Wiesz, Gilly, ten twój Steven nazwał całą Wilgę skarbcem.

— Też to od niego słyszałam. - Ciotka uśmiechnęła się serdecznie. - Nie wpytyuję go o rodzinę, ale mam wrażenie, że muszą to być ludzie na wysokich stanowiskach. Steven jest wykształcony, ma dobre maniery, wiele podróżywał. Dużo wie o Azji, o jej sztuce i architekturze. Nawet „Bamboo Lodge” wybudowano według jego projektu.

- Nie poznałaś osobiście jego współpracownicy Christine. To nieco dziwne, nie uważasz?

- Oj, kochana. W mieście bywam rzadko. Wiesz, jaka jestem. Wolę przebywać na farmie.

- To bardzo piękna kobieta, bardzo egzotyczna. W dodatku umie robić interesy.

Gilly uśmiechnęła się szeroko.

- Mówiłaś mi to już kilkanaście razy. Chyba zrobiła na tobie wielkie wrażenie.

- Zachwyciłaby każdego. Wyglądem, obyciem, do-

świadczaniem i w ogóle... Mówił ci może, ile ona ma właściwie lat?

- A skądże. Ale ty chyba to wiesz. Wydaje mi się, że wspominałaś, że jest młoda.

- Tego właśnie nie potrafię rozstrzygnąć - wyznała Bronte. - Można by jej dać dwadzieścia jeden albo sto jeden.

- Ciekawe, jak ona to robi - roześmiała się ciotka. - No, głuptasie. Czuję, że jesteś odrobinę zazdrosna.

- No wiesz! - Bronte pochyliła głowę nad swoim inwentarzem. - Teraz to już ty mówisz głupstwa. Co masz tam w kieszeni?

- Mój stary przyjaciel Jimmy Wang podrzucił mi pocztę. - Gilly wyjęła kilka kopert z szerokiej kieszeni zielonych roboczych spodni. - Jeden list jest od twojej mamuski. Pewnie pyta, czy mogłaby tu przyjechać i pobyc z nami. Charakter jej pisma rozpoznam wszędzie.

- Ciekawe, czego tak naprawdę chce. - Bronte sięgnęła po list takim gestem, jakby absolutnie nie życzyła sobie jego otwarcia. - Może Max rozmawiał z nią o swoim przyjeździe tutaj na Boże Narodzenie.

- Jeśli tak - prychnęła Gilly - to możesz być absolutnie pewna, że nie wyraziła zgody. Choć nie sądzę, żeby szczególnie za nim tęskniła.

List utrzymany był w lodowatym tonie. Miranda nie przesyłała córce pozdrowień ani nie napisała, że za nią tęskni. Nie dopytywała się o Gilly ani o to, czy Bronte czuje się lepiej.

Max miał po prostu zostać u rodziny swego przyja-

ciela ze szkoły. Czy to coś oznaczało? Chyba tylko jedno. Że Magnus Potter to milioner, bo tylko takie osoby Miranda uważała za warte znajomości. A w ogóle, to Bronte sprawiła wszystkim koszmary zawód. Zwłaszcza Carlovi, który robił co w jego mocy, by zapewnić jej wspaniałą przyszłość. Nathan podobno ciężko przeżył rozstanie. Rozeszły się plotki, że usiłował popełnić samobójstwo, ale w końcu poszedł do wojska,

Bronte ścisnęło się serce. Nie wybaczyli jej. Nigdy nie wybaczą. Nie pozwolili Maksowi na przyjazd tutaj.

- Wnioskuje z twojej miny, że Max nie przyjedzie. - Gilly zamaskowała gniew współczującym uśmiechem.
- Miranda nic a nic się nie zmieniła. Jest taka sama jak zawsze.

Bronte kiwnęła głową.

- Chcesz, to przeczytam ci całość, ale właściwie po co? I tak wszystko wiesz. Ciekawe, że matka nigdy nie miała najmniejszych oporów, żeby wsadzić mnie do samolotu i wysłać do ciebie.

-. Bardzo jestem wdzięczna. A co do niej... No cóż, odpowiadał jej taki układ.

- Zrozumiała, że małżeństwo z Brandtem coś kosztuje. Dzieci tylko by im przeszkadzały.

- A jednak Carl musiał się ucieszyć, gdy powiedziała mu, że jest z nim w ciąży.

- Być może był to z jej strony wybieg. Złapała go na tę ciążę. Tak czy owak, Max bardzo cierpi, moja matka chyba też. Założę się, że znosi wiele spraw w milczeniu.

Ciotka pogłaskała ją po rękę.



- Zawsze miałaś dobre serduszko.
- Matka to jednak matka. Innej nie mam. To śmieszne, ale ona naprawdę uważa ten dom za koszmarny. Boi się go.
- Daj spokój - parsknęła Gilly. - Nasz dom nie jest koszmarny ani przeklęty. Jest błogosławiony. Ludzka duchowość jest niezniszczalna. Nasi przodkowie, wierz mi, wciąż się nami opiekują. A co do twojej matki, to faktycznie, widziałam kiedyś, jak z okropnym krzykiem zbiega ze schodów.
- Przestraszyła się węża. Dostał się do domu - powiedziała Bronte. - Powiedziała mi kiedyś, że boi się tutaj spać. Mówiła, że za każdym razem, kiedy się budzi, ktoś się nad nią pochyla.
- Prawdopodobnie duch generała - odparła spokojnie Gilly, biorąc do ręki kartkę ze sporządzonego przez Bronte inwentarza. - Co to jest?
- Już ci mówiłam. Kataloguję wszystko, co przedstawia jakąś wartość. Jeśli coś się zgubi, będę o tym wiedziała.
- Świetnie - roześmiała się ciotka.
- Wiesz, Gilly... Wydaje ci się, że jesteś nikim, ale to nieprawda. Jesteś bardzo bogatą osobą, tyle że nie masz gotówki. Mogłabyś się trochę podreperować finansowo, wystawiając na aukcję część dzieł sztuki. Za same obrazy z tego pokoju dostałabyś niezłe pieniądze.
- To znaczy ile? - zapytała Gilly bez najmniejszego entuzjazmu.
- Kto wie? - Bronte przyjrzała się olejnym obrazom wiszącym na ścianie. Moim zdaniem nawet najślabszy z nich wart jest co najmniej trzydzieści tysięcy dolarów,

a może i więcej. To nie moja specjalność, ale oglądałam mnóstwo wystaw.

- Tylko dlaczego miałabym je sprzedawać? - spytała Gilly. - To są moi starzy przyjaciele. Dorastałam wśród nich. Były tutaj zawsze. Co bym zrobiła bez moich okrętów żeglujących wokół pokoju? Ich materialna wartość się nie liczy. Są bezcenne, ponieważ są dla mnie jak rodzina. Tak jak ty jesteś moją rodziną.

- Ja też uważam je za rodzinny skarb. Ale Gilly... Sprzedanie zaledwie kilku lepszych rzeczy mogłoby zapewnić ci życie w spokoju i dostatku.

Gilly tupnęła nogą.

- Rzecz w tym, kochanie, że przed śmiercią chciałybym jeszcze zobaczyć ciekawie. Steven obiecał mi, że polecę helikopterem. Powiedział, że moglibyśmy wybrać się na jedną z wysp. Widok Morza Koralowego i Rify musi być wspaniały. Minęły wieki, od kiedy ostatni raz byłam na wyspach. Wiem, że niepokoisz się o mnie. Jesteś dobrą, uczuciową dziewczyną. Byłaś już taka jako małe dziecko, ale wierz mi, ja naprawdę wiem, czego chcę. Wilga traci siły, tak jak ja. Pragniemy być przywrócone życiu.

Bronte zrozumiała, że z takimi pragnieniami nie da się walczyć.

- W takim razie trzeba wziąć dobrego prawnika, który broniłby naszych interesów - powiedziała.

- Mamy Stevena. - Gilly roziskrzyły się oczy.

- Jesteś zbyt ufna. Pokazał mi swój motel z restauracją. Wspaniały obiekt, owszem, ale co z tego? Co my tak naprawdę o nim wiemy?

- Słucham tego, co mówią mi moje najgłębsze przekonania, dziewczyno. Steven ma bardzo dobrą opinię. Pracował na nią od momentu, gdy się tutaj zjawił. Jest najsympatyczniejszym młodym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam. Zobaczył, że naszą plantację zarasta dżungla i od razu wziął się do roboty. Wykarczował, co mógł, oczyścił teren przy domu, zniszczył gniazda węży.

- Bez wątpienia miał w tym swój cel.

- Oj, Bronte, Steven nie jest taki, jak myślisz. Mieszkając pod jednym dachem ze swoim ojczymem, zrobiłaś się podejrzliwa. Doskonale to rozumiem, ale nie wszyscy mężczyźni są łajdakami. Steven Randolph nas nie skrzywdzi.

- Niech ma się na baczności, jeśli stanie się inaczej.

W kilka dni później Steven zatelefonował, mówiąc, że przyjedzie, i to nie sam. Zależało mu na tym, żeby poznać pewnego człowieka, bardzo doświadczonego projektanta ogrodów, który zgodził się obejrzeć Wilgę i udzielić porady.

- Jakiej znowu porady? - Bronte od razu wyobraziła sobie najgorszy scenariusz. -I ile to będzie kosztować?

- Już widzę, jak się jeżysz - usłyszała w słuchawce. - Możesz wierzyć albo nie, ale potraktuje to jako przysługę.

- Tyłu masz przyjaciół? To prawdziwy cud.

- Tak czy owak, wpadnę. Chcę się przekonać, czy wyglądasz tak samo pięknie jak ostatnio.

- Skoro tak, to już biegnę się stroić - powiedziała słodko i przerwała połączenie.

Reakcję Gilly nietrudno było przewidzieć.

- O, jak miło! Tęsknię za Stevenem, kiedy dłużej go nie widzę. Znajdzie się coś do herbaty? Uwielbiam twoje czekoladowe ciasteczka.

- Mam je upiec dla twojego Randolpha? Niezbyt mi się to uśmiecha.

- Jeśli nie chcesz, to nie, moje złotko, ale wiesz, jak się mówi: Droga do serca prawdziwego mężczyzny prowadzi przez żołądek.

- Gilly... Chyba nie próbujesz mnie swatać?

- Wiesz dobrze, że nigdy w życiu nic takiego nie przysłoby mi do głowy. Ale zanim odejdę, chciałabym cię widzieć dobrze ustawioną.

- Zanim odejdiesz dokąd?

- Da aniołków, skarbie. Jeśli chcesz znać moją opinię, Steven jest tobą zauroczony.

- A ja nim wcale! Mężczyźni w ogóle mnie nie obchodzą. Nic a nic.

-Wszystko przez Nata! Steven to dobry człowiek. Szczycę się tym, że mogę go nazywać przyjacielem. - Gilly odwróciła się i wcisnęła na głowę szeroki kapelusz.

Dzień był upalny i parny. W przesyconym zapachami powietrzu czuło się nadchodzącą porę deszczową. Wulkaniczna, niemal czerwona ziemia gotowała się z gorąca. Ogrody pachniały jak mango w ciężkim syropie. Ogromne, uginające się od owoców drzewa zrzucały swoje dojrziałe brzemie. Na ziemi leżało tyle owoców, że z ich zjedzeniem nie poradziłaby sobie cała armia.

Steven i projektant ogrodów przyjechali o trzeciej, akurat na popołudniową herbatę. Bronte przyglądała się im z werandy. Wysiedli z terenowego samochodu, obaj ubrani w robocze stroje i mocne buty na grubej podeszwie. Popołudniowy wiatr poruszył krzewami, zwiewając kwiecie na szmaragdowozieloną trawę. Gilly kręciła się po domu. Szukała zdjęć plantacji z dawnych lat.

- Gdzie się do licha podziały... Muszą być gdzieś w moich rzeczach - powiedziała z nadzieją.

- Serwus, Bronte! - zawołał Steven, salutując.

- Cześć! Czekamy z herbatą. — Przyglądała się z uwagą jego towarzyszowi. Kiedy podeszli bliżej, miała już pewność, że zna tego człowieka. Był to Leo Marsdon, który zajmował się projektowaniem otoczenia letniskowej chaty ojczyma w Górach Błękitnych. Marsdon cieszył się znakomitą renomą. Pracował w wielkich majątkach na całym świecie. Matka Bronte kolekcjonowała jego pięknie ilustrowane książki poświęcone projektowaniu ogrodów. Zdobiły stoliki do kawy we wszystkich trzech domach Brandta. Nadawały się świetnie do pokazywania gościom.

- Ależ my się znamy! - wykrzyknął Marsdon, wchodząc po schodkach i zdejmując kapelusz. - Minęło sporo czasu, ale rozpoznałbym panią wszędzie. Te fiołkowe oczy! Córka Carla Brandta, nie myłę się, prawda?

- Pasierbica - sprostowała Bronte, z uśmiechem wyciągając dłoń na powitanie. - Jestem niezmiernie zaskoczona, że spotykamy się tutaj. Steven mówił, że przyjedzie z projektantem ogrodów, ale nigdy nie przyszłoby mi do

głowy, że będzie to sławny Leo Marsdon. Wielki to dla nas zaszczyt. Był pan zawsze rozchwytywany.

Projektant uśmiechnął się.

- Owszem, wciąż mam sporo zleceń, lecz Steven poprosił mnie o przysługę. Cieszę się, że mogę się przydać. Jestem w kraju od niespełna półtora miesiąca. Zakończyłem pracę nad obiektem sportowym w Argentynie, a teraz zajmuję się pewną posiadłością na wybrzeżu. Steven opisał mi plantację i cały teren tak interesująco, że rozbudził moją wyobraźnię.

- Świetnie - ucieszyła się Bronte. - Moja ciotunia zaraz tu będzie. Szuka zdjęć Wilgi z dawnych lat. Chciałaby pokazać panu fotografie. Miałyśmy nadzieję, że znajdzie pan czas na herbatę.

- Na dobrą herbatę zawsze jest czas, prawda, Leo? - Steven puścił oczko. - A potem przejedziemy się po terenie. Leo chciałby poznać jego ukształtowanie i roślinność.

- Już widzę, że to botaniczny raj - stwierdził Marsdon. - A ten stary dom to prawdziwe чудо. Ma jakiś przedziwny klimat. Czuję się tak, jakby do mnie przemawiał.

- Ho, ho - zażartował Steven. - Rybka chwyciła haczyk. Dobrze mówię, Leo? Zdaniem Gilly tajemnica jej domu tkwi w tym, że żyją w nim duchy przodków. McAllisterowie nigdy stąd nie odeszli i nie odejdą,

- O, kurczę! - Marsdon złapał się za głowę. - Tak się cieszę, że zostałem zaproszony. Czuję, że mógłbym tu sporo zdziałać.

- I właśnie na to liczymy - przytaknął Steven.

Muszą się nieźle znać, pomyślała Bronte. Być może

poniosła ją wyobraźnia, ale odniosła wrażenie, że Steven był przez moment nieswój. Nie spodziewał się, że ona i Marsdon się znają. Oczywiście ukrył zaskoczenie.

- Zapraszam do środka. - Bronte uśmiechnęła się do gościa. - Niech się pan trochę rozejrzy. Usiłuję zinventaryzować domowe dobra, ale to jeszcze wymaga czasu.

- Huk roboty! - dopowiedział Steven, patrząc na nią. W długie kruczoczarne włosy Bronte wpięła jasny świeży kwiat. Wrażenie było tak zmysłowe, że miał ochotę nachylić się i odetchnąć jego zapachem. Raptem stanęła mu przed oczyma inna kobieta. Jego ukochana matka. Ona również lubiła wpinać we włosy kwiaty. Odezwał się w nim straszliwy ból, jak zawsze, gdy o niej myślał. A teraz jeszcze ta dziewczyna... Bronte... Prześliczne usta, pociągnięte koralową szminką; turkusowy top na cienutkich ramiączkach, turkusowo-biały sarong. Steven aż się rwał, żeby chwycić ją w ramiona, całować się z nią do utraty tchu... Broń się, chłopie, pomyślał i spojrzał nad głową Bronte w głąb sieni.

- Gilly, jesteś tam? - zawołał.

Odpowiedziały mu szybkie kroki i po chwili na werandę wyszła Gilly w kremowych spodniach i brązowych skórzanych sandałach.

- Ojej! Kogo my tu mamy! Leo Marsdon! - wykrzyknęła zachwycona. - Chyba zemdleję z wrażenia.

- Co to znaczy być sławnym! - zaśmiał się Steven, nie ukrywając zaskoczenia, lecz przedstawił ich sobie ze zwykłą swobodą i wdziękiem.

- Widziałam w telewizji program o panu - wytłuma-

czyła się Gilly. - Mniej więcej rok temu. Mam pamięć do twarzy. Przypominam też sobie, że ojczym Bronte wybrał pana na projektanta swojego domu w Górach Błękitnych. Ale że znacie się ze Stevenem... No, nie! Co za fantastyczny zbieg okoliczności! Mamy doprawdy szczęście. Przekopałam stary kufer i znalazłam stosy zdjęć Wilgi z dawnych czasów. Może chcielibyście je panowie obejrzeć. Bronte pewnie też chętnie wam potowarzyszy. Toż to przecież McAllisterówna.

- A ja myślałem, że jest pani córką Brandta - powiedział Marsdon. - Nie dał mi do zrozumienia, że jest inaczej.

- Bo tak mu było wygodnie - sarknęła Gilly. - Przyjemnie jest pochwalić się ładnym dzieckiem. Bronte jest córką Rossa McAllistera, syna mojego brata. Ross zginął w wypadku samochodowym, gdy miała siedem lat. To smutna historia, ale cóż... Wejdźmy do domu. Na taki upał najlepsza jest filiżanka herbaty. Musicie też panowie spróbować cytrynowego ciasta Bronte. Ta moja kochana dziewczyna jest nie tylko śliczna, ale i utalentowana w wielu dziedzinach.

- Myślałaś kiedyś o karierze szefowej kuchni? - wymruczał Steven, zbliżając usta do ucha Bronte.

Przegadali bardzo przyjemnie pół godzinki, nim wstali od stołu z zamiarem objechania plantacji.

- Ale ostre światło! - Gilly przystanąła nagle w drodze do samochodu. - Chyba lepiej zostaną w domu.

Bronte popatrzyła z niepokojem na ciotkę.

—Coś nie tak? Gilly? Znowu problemy z oczami?



- Nie ma się czym przejmować, skarbie. Zaraz mi przejdzie. Muszę tylko uważać na słońce bardziej niż dawniej.

- Na pewno nic ci nie jest? - zatroszczył się Steven, - Możemy zrezygnować z rekonesansu.

- Na litość boską! Nie chcę o tym słyszeć! - zaproponowała Gilly. — No cóż, starość ma swoje niemiłe strony. Poczekam na was w domu.

- Zostanę - powiedziała Bronte.

W odpowiedzi ciotka zrobiła stanowczy gest w stronę samochodu.

- No już, do widzenia! Jedźcie!

- Rozkaz, madame. - Steven zasalutował wesoło. - Wy-  
nosimy się. Będziemy niedługo.

Kilkakrotnie w trakcie jazdy zatrzymywali się gdzieś w cieniu, a Marsdon rozglądał się po okolicy. Był taki ożywiony, a zarazem tak skupiony, że być może już teraz w jego głowie powstawały kolejne projekty.

- Gdzie się poznaliście? - zapytała Bronte.

- Znam go od zawsze.

- Pytam, bo wydawało mi się, że przeżyłeś trudny moment, gdy Leo mnie rozpoznał.

Steven zerknął na nią. Wokół nich łątały roje mieniających się tysiącami barw motyli opitych nektarem lantany obrastającej brzeg lasu. Jeden z nich, o szafirowo-czarnych skrzydełkach, przysiadł na odsłoniętym ramieniu Bronte. Oczarował go ten widok.

- Skąd to wrażenie? - zapytał miękko.

Bronte stała nieruchomo, nie chcąc, żeby motyl zaraz odfrunął.

- Jeśli chodzi o ciebie, mam dobre oko - powiedziała szeptem. - Randolph to nie jest twoje prawdziwe nazwisko. Mam rację? - wyrzuciła z siebie spontanicznie.

- Tak się nazywam. - Wyciągnął palec w kierunku przepięknego motyla, który w tym momencie odleciał. - Ojej! Szkoda.

- Przestraszyłeś go. A Marsdon i tak powie mi prawdę.

- Mogłabyś rozmawiać z nim za moimi plecami? I co właściwie miałby ci powiedzieć, ty głuptasie. - Ujął pasemko włosów zasłaniające jej policzek i przytrzymał. - Twoim zdaniem prowadzę podwójne życie?

- A nie? - Nie ośmieliła się odwrócić twarzy. Dotyk jego ręki był tak rozkoszny, że musiała coś zrobić, żeby nad sobą zapanować. - Dlaczego wyobcował się ze swej rodziny? - zapytała gwałtownie.

- A czy ty nie jesteś wyobcowana ze swojej? Czy oboje nie mamy prawa do własnego, odrębnego życia?

Rozumiała go doskonale, a mimo to powiedziała:

- Mamy, ale dlaczego nie używasz swego prawdziwego nazwiska?

Roześmiał się.

- Ciekawe, czym mnie jeszcze zaskoczysz. Zawiadomisz Interpol? Do licha, co to ma w ogóle wspólnego z naszymi działaniami tutaj? Powiedziałem ci, że ojciec i ja nie pasujemy do siebie. Usiłowałem go pokochać, ale jemu kochający ludzie są niepotrzebni. Woli ich nienawidzić. To się czasem zdarza między ojcami i synami. Moja matka nie

żyje, z bratem też nie bardzo się zgadzamy. Ojciec miał na niego przeogromny wpływ. Na mnie nie!

- Leo zna twego ojca?

- Tylko go o to nie pytaj. Sam ci odpowiem. Zna. Jedy-  
ną pasją Lea jest projektowanie. Nie wypytuj go o moją  
rodzinę. Jemu również nie byłoby to w smak.

- Widać miałyby sporo do opowiedzenia. Twój ojciec...  
Mówisz o nim tak, jakby to był ktoś, kto łamie podstawo-  
we zasady,

- Jak Brandt. Tacy faceci wyrastają tak wysoko, że wy-  
daje im się, że nie muszą liczyć się z prawem.

- Sugerujesz, że mój ojczym to przestępca?

- Myślę, że bardzo często omija prawo i gra nieczysto. Kie-  
dy człowiek stale tak postępuje, nie ma mowy o uczciwości.

Bronte pochyliła głowę.

- Posłuchaj, Steven. Nie próbuję wdzierać się w twoją  
prywatność. To kwestia zaufania... zawierzenia ci w spra-  
wach...

-Związanych z losem twojego dziedzictwa?

- Z losem Gilly! Z całym jej życiem. Ona uważa cię za  
cudotwórcę.

- Bo nim jestem! - W oczach Stevena zapłonął gniew.  
- Będę! Gwarantuję ci to. Lubię mierzyć wysoko.

- Do licha, alez ty jesteś pewny siebie! - Poprawiła le-  
ciutko sarong, przylegający gładko do bioder i nóg.

- A co? Nie mam podstaw? Już sam fakt, że Leo zgodził  
się przyjechać tutaj i być może coś zaprojektować, świad-  
czy o tym, że jestem godzien zaufania. Człowiek jego ka-  
libru nie robi przysług miernotom.

- Prawda - przyznała sucho.
- Zechciałabyś to powtórzyć? - zapytał sarkastycznie.
- Nie. Słyszałeś, co powiedziałam.
- Czy ty naprawdę nie potrafisz zrezygnować z tej wiecznej opryskliwości? Niełatwo jest współdziałać z kobietą twego pokroju. Przykro mi, ale nie dam się wciągnąć w rozmowy na temat mojej rodziny. Są to sprawy nieistotne dla działań, które chcemy podjąć.
- Możliwe, ale...
- A czy ty chciałabyś opowiadać w kółko o tym, jak zrezygnowałaś ze ślubu, którego wszyscy sobie życzyli?
- Wszyscy oprócz mnie.
- To dlaczego zwlekałaś z tym aż do końca?
- Nie twoja rzecz.
- No właśnie! - Odetchnął głośno. - Więc dlaczego nie przestajesz węszyć? Rozumiem, chcesz mnie sprawdzić jako przyszłego współnika Gilly. Mam więc propozycję. Może któregoś dnia wpadlibyśmy do Wildwood, na farmę Chiki Morana. To też mój współnik. Sprawdziłabyś, jak mu się teraz powodzi i czy jest ze mnie zadowolony.
- Unikam krokodyli.
- I bardzo słusznie. Nie chodzi o to, żebyś pomagała Chice i chłopakom. A w ogóle, byłaś już kiedyś w Wildwood?
- Owszem, z Gilly. To nienormalne, gdy na ścieżkę w ogrodzie mogą w każdej chwili wyleźć krokodyle.
- Steven roześmiał się.
- Są w porządku, jeśli nie wchodzi się pomiędzy nie. Nie wolno nigdy, ale to przenigdy, wtargnąć na ich teryto-

rium. Poza takimi sytuacjami zachowują się całkiem rozsądnie. Nie sprowokowane, nie atakują.

- Dobrze wiedzieć. I bez tego są przerażające. Wyglądają jak kłoda, ale poruszają się niewiarygodnie szybko.

- Zapewniam cię, że są obecnie ogrodzone płotami.

- Więc kto je karmi, ty?

- Czy do ciebie dociera choćby jedno moje słowo? Zajmuje się tym Chika albo jeden z jego synów. Boisz się tam jechać?

- Nie boję się! Od dzieciństwa byłam odważna.

- Świetnie. - W oczach Stevena zatańczył ogień. - No to może wybierzemy się tam na początku przyszłego tygodnia? Zjedlibyśmy lunch w motelu, a potem pojechalibyśmy do Wildwood. A skoro jesteś taka odważna, jak twierdzisz, to mógłbym zorganizować wycieczkę do zatoki, zanim zacznie się pora deszczowa. Popłynęlibyśmy rzeką, której poziom u ujścia zmienia się wraz z przypływami i odpływami, i zrobilibyśmy trochę zdjęć.

- Mówisz poważnie? - Popatrzyła mu w twarz, wyraźnie podniecona.

- Jak najbardziej. Nie rozumiem, dlaczego pytasz. A co? Nie czułabyś się ze mną bezpiecznie? - Patrzył na nią tak, że poczuła się jak zahipnotyzowana.

- Pewnie, że nie. Mógłbyś na przykład wrzucić mnie do wody.

- No wiesz! - Steven wybuchnął śmiechem. - Chyba nawet krokodyl pomyślałby dwa razy, zanim zdecydowałby się zadrzeć z tobą. Jeśli chcesz, poproszę Gilly. Niech wybierze się z nami w charakterze przyzwoitki. Na rozpoczę-

cie jakichś większych prac jest już za późno. W początkach grudnia wszystkie przedsiębiorstwa budowlane zwiłają robotę. Proponowałbym, żebyśmy teraz zrobili porządek z ważną drogą dojazdową. Od lat nie mieliśmy tu potężnego cyklonu, ale kto wie, czy tym razem coś takiego nas nie czeka. Droga zamieni się w nieprzejezdne bagno.

- Niby o tym nie wiem. Mam nadzieję, że nie skłonisz Gilly do oddania Wilgi w zastaw hipoteczny, jeśli nie uda ci się wytrzasnąć pieniędzy na to przedsięwzięcie, Bo jeśli tak, to przekonam Gilly, żeby zrezygnowała.

Steven zmienił się na twarzy,

- Wiesz co, twoje obawy są uzasadnione. Chwilami faktycznie miałbym ochotę wyciąć ci jakiś numer. Twoja ciotka doskonale wie o tym, że o wchodzeniu na hipotekę majątku nie ma mowy. Nasz układ jest jasny. Kartą Gilly jest Wilga, moją zaś praca, dzięki której to miejsce przemieni się w przepiękny obiekt wypoczynkowy.

- Cieszy mnie to, co mówisz. - Bronte nie ukrywała sarkazmu. - Wybacz, jeśli cię uraziłam.

-Nieważne. Naprawdę... Twoje złośliwości spływają po mnie jak woda po kacze. O, jest już Leo. Założę się, że ma masę pomysłów.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pod koniec tygodnia Bronte i Gilly pojechały do miasta, by spotkać się ze Stevenem i podpisać umowę, przygotowaną przez doradcę prawnego Gilly, Maurice'a Meiklejohna. Jak poinformowała jego sekretarka, szef nie pojawiał się w kancelarii codziennie. Podobnie jak jego ojciec, który niegdyś zajmował się sprawami rodziny McAllisterów, życzył sobie jednak podtrzymać tradycję i zależało mu, żeby i tym razem zaangażować się osobiście.

W klimatyzowanym starym biurze Meiklejohnów niemal natychmiast poproszono ich do prywatnego gabinetu szefa. Pan Maurice zerwał się zza ogromnego wiktoriańskiego biurka.

- Gillian! Droga moja! Tak się cieszę, że cię widzę. - Rozłożył ręce i serdecznie ją uściskał. Miał na sobie wygnieciony kremowy garnitur, białą koszulę ozdobioną krawatem w paseczki, pamiętającym chyba szkolne czasy. Przypominał miłego uroczego dziadunia, którym w gruncie rzeczy był. Obejmowali się z ciotką i delikatnie poklepywali po plecach.

- Pamiętasz moją małą Bronte, prawda?

- Tak, tak, nie tylko pamiętam, ale podziwiam. Naszej

młodzieży nie dało się oderwać od telewizora w te wieczory, gdy szedł serial, w którym grała. Sam też nie mogłem się napiatrzyć. Jesteś, Bronte, taka piękna, a w roli policjantki wypadłaś bardzo wiarygodnie. Ludzie dosłownie płakali, kiedy tak gwałtownie usunięto cię ze scenariusza.

- Nie wiedziałam, że byłam taka popularna - roześmiała się Bronte.

- A to jest Steven. - Gilly wzięła go pod ramię. - Steven Randolph, mój przyszły współnik.

Mężczyźni podali sobie ręce.

- Mielśmy okazję już się kiedyś poznać - powiedział Meikiejohn. - Chyba rok temu, podczas jakiejś niasiadówki w radzie miejskiej, zrobiło mi się słabo i pamiętam, że zachował się pan wobec mnie bardzo przyzwoicie. Przypominasz mnie sobie, chłopcze?

- Oczywiście, sir, chociaż nie wiedziałem, że to był pan. Nie znałem nazwiska.

- Bardzo przepraszam. Kiepsko się wtedy czułem. Mam nadzieję, że przynajmniej ci podziękowałem.

-Tak, pamiętam to dobrze.

Maurice Meikiejohn rozpromienił się.

- Załatwiamy więc sprawę od ręki. Muszę ci powiedzieć, Gillian, że ogromnie się cieszę na myśl, że Wilga wróci do życia. Ależ nam tam było dobrze w czasach naszej młodości. Nie byłem wtedy takim sflaczałym dziadkiem, jakim jestem teraz. - Rzucił Bronte prawie roziskrzzone spojrzenie. - A Gillian... Otaczał ją rój wielbicieli. Miała precudne włosy, gęste, czarne, aksamitne. O twojej ciotce mógłbym ci opowiedzieć masę historii.



- Błagam cię, Maurice, daj spokój. - Gilly aż dostała wypieków i usiadła jak trusia na krześle, które podsunął jej Steven.

Żeby uczcić podpisanie umowy, Steven zabrał wszystkich na lunch do motelu. Starszym państwu, ulokowanym na tylnym siedzeniu samochodu, nie zamykały się usta. Rozmawiali z sobą tak, jakby musieli obgadać wszystko na wypadek, gdyby już nigdy nie mieli się zobaczyć.

Bronte i Steven milczeli, zauroczeni sobą, świadomi wzajemnej fascynacji.

W lokalu powitała ich Christine, jak zwykle niezwykle elegancka i uprzejma.

- Ale cudnie! - Prawnik z zachwytem rozejrzał się po sali. - Słyszałem, że dają tu bosko jeść.

- Chcesz powiedzieć - Gilly spojrzała na niego zaskoczona - że nie byłeś tu nigdy z Gwein?

- Starszy pan nakrył ręką jej dłoń.

- Wiesz, jaka jest moja Gwennie...

- Jeszcze jej nie przeszło?

- A skądże! Wciąż jest o ciebie zazdrosna. - Wybuchnął śmiechem.

Spotkanie okazało się przemiłym powrotem do przeszłości. Jedzenie, które zamówili, było lekkie, ale pyszne. Christine, ubrana bardzo szykownie, tym razem na liliwo, fruwała po sali jak motyl, rzucając tęskne spojrzenia na swego współnika. Bronte miała nieodparte wrażenie, że jest w nim zakochana. Steven musiał o tym wiedzieć. Raptem wyobraziła sobie hebanowe włosy Christine i zło-

tobrazowe Stevena na jednej poduszce. Wrażenie było tak silne, że przez moment nie była w stanie oddychać. Gdy dwie godziny później wychodzili z restauracji, Christine znów poprosiła Stevena na słówko na osobności. Gilly z przyjacielem wyszli na powietrze i spacerowali przed wejściem. Bronte przystanęła w holu, podziwiając niemal ostentacyjnie nową aranżację kwiatową, której ton nadały przepiękne strelcje. Chwilę później Steven i Christine podeszli do niej.

- Właśnie mówiłam Stevenowi - wyjawiała Christine - że musisz koniecznie być z nami w sobotę wieczorem. Urządzam u siebie małe przyjęcie.

- Z okazji urodzin - dopowiedział z uśmiechem, który każdą kobietę przyprawiłby o mocniejsze bicie

-Tylko żadnych prezentów, proszę. - Christine uniosła rękę. - Spotkamy się w niewielkim gronie przyjaciół. Przyjdiesz, Bronte?

- Z największą przyjemnością. Dziękuję.

- A zatem ustalone. - Christine położyła leciutko dłoń na ramieniu Stevena i zajrzała mu w oczy.

Dobrana parka, pomyślała Bronte, przeklinając się za to, że ją to tak poruszyło. Gwałtowne fascynacje i gwałtowne rozstania. Była taka sama jak Gilly. Nie miała szczęścia w miłości. W miłości? Chwileczkę. W jakiej znowu miłości? Co jej się do licha roi? Nie dopuszczę do tego, pomyślała. Nigdy w życiu. Steven, nieświadomy zamętu w jej duszy, wyprowadził ją z chłodnego holu na jasne słońce.

Leo Marsdon powrócił do prac na wybrzeżu, ale obiecał przesłać szkice swoich pomysłów zagospodarowania rozległych terenów Wilgi. Jak powiedział, nawet gdyby uznali jego rozwiązania za godne uwagi, aż do końca pory deszczowej żadnych prac nie dałoby się podjąć. Zadrzewienie nie wchodziło w grę, gdyż w majątku rosły już wspinające, ogromne drzewa. Chciał natomiast stworzyć kilka ozdobnych lagun, wykorzystując płynący przez Wilgę strumień, i sprowadzić wodne ptactwo, zwłaszcza gnieźdzącego się w okolicy czarnego łabędzia. Proponował też wybudowanie drogi wokół wulkanicznego wzniesienia, zarówno dla pieszych turystów, jak i dla jeżdżących konno. Przestrzegł, że konieczne będzie wprowadzenie ciężkiego sprzętu, buldożerów i koparek. Dawał też do zrozumienia, że mógłby objąć osobisty nadzór nad budową.

Gilly była w siódmym niebie. Co rano witała Bronte uśmiechem.

W sobotni wieczór, gdy Bronte przeglądała się w lustrze, Gilly zapukała do niej.

- Proszę. Jestem prawie gotowa.

- Och, ależ ty pięknie wyglądasz. - Ciotka aż złożyła ręce.

- Zawsze mi tak mówisz, Gilly. Pamiętasz, kiedy szłam na pierwszą szkolną potańcówkę i nie miałam odpowiedniej sukienki, zrobiłaś mi ją z sari, które wygrzebałaś z jakiegoś starego pudła. Wszystkie dzieciaki śmiały się ze mnie i pytały, czy jestem hinduska.

- Hinduska z fiołkowymi oczami! Dobrze sobie. Pamię-

tam, to wtedy po raz pierwszy odkryłyśmy, że jest ci ładnie w czerwieni. A teraz... Widzę, że się czymś trapisz. Czym? Dziecko moje, nie wariuj.

- Christine zawsze wygląda tak cudownie...

- To piękna kobieta, ale ciebie nie przyćmi... Wiesz, że się w nim kocha?

Bronte markotnie kiwnęła głową. Nic na to nie mogła poradzić, ale było jej niewesoło. Ciotka objęła ją serdecznie.

- Steven jest tobą olśniony, coś mi o tym wiadomo.

- Mam go w nosie.

Gilly uśmiechnęła się.

- A jednak... To jest mężczyzna, który mógłby dać ci szczęście. Gdybyś tylko nie była wobec niego taka gburowata.

- Gburowata? Chyba przesadzasz. Może i jestem trochę szorstka, ale...

- Oj, nieważne - stwierdziła Gilly. - Myślę, że cię przejrział. A na pewnych sprawach znam się zupełnie dobrze. Swego czasu podobałam się mężczyznom. Smalili do mnie cholewki, ale miałam opinię niedotykalskiej. Uznawali mnie za trudną. Oby nie przytrafiło ci się to samo, moja kochana.

- Może obie mamy to w genach.

- Nie mów głupstw. W twoich żyłach płynie krew pionierów. Wizjonerów. Ludzi kochających przygodę. Masz w sobie ducha McAllisterów. Jesteś młoda...

- Może ostatnia z rodu.

Ciotka spojrzała na nią przenikliwie.

- Jeśli tak będzie, to wyłącznie z twojej winy i przez moją głupotę. O, słyszę, że Steven już podjeżdża. Jedź i baw się dobrze. To rozkaz.

- Generał się znalazł! - Bronte zasalutowała teatralnie, porwała ze stołu śliczną torebkę, niegdyś własność Mirandy, i szybko ucałowała Gilly w policzek. - Kocham cię - powiedziała czule. - Nie czekaj na mnie.

- Nie mam powodu do obaw - zapewniła Gilly, odprowadzając Bronte na werandę. - Nie wtedy, gdy jesteś ze Stevenem.

- Gdzie właściwie mieszka Christine? - zapytała Bronte.

- W Pandanus Point. Czy to cię niepokoi?

- Ależ skąd! - Odwróciła głowę do szyby. Była pełnia. Ogromny księżyc oświetlał ziemię. - Nie byłam tam od wielu lat.

- Nie poznałabyś tego miejsca. Bardzo się zmieniło. Około 30 akrów przejęła pod zabudowę firma Calypso. Spotkało się to ze sprzeciwem kilku tamtejszych właścicieli, nie życzących sobie obcego sąsiedztwa i obawiających się zniszczenia środowiska. Okazało się jednak, że Calypso świetnie sobie poradziło, poza tym wprowadzono pewne obostrzenia architektoniczne. Nie wolno stawiać domów tak, by przesłaniały innym widok, a projekty muszą być zatwierdzone przez tutejszą radę. Jest tam naprawdę pięknie. Podobne domy stawia się na Hawajach. Christine i ja jesteśmy sąsiadami.

- To bardzo wygodne. - Nie powinna była tego powiedzieć, ale nie potrafiła się powstrzymać.

- Fakt. Jesteśmy współnikami. Mieszkanie w sąsiedztwie ułatwia kontakty. Christine pracuje całymi dniami i nie ma czasu na roztkliwianie się nad sobą. Po śmierci męża nawiązała nowe znajomości i przyjaźnie.

- Jest prawdziwą artystką - powiedziała szczerze Bronte. - Czy mogłabym zerknąć również na twój dom?

- Chciałabyś? Bardzo mi miło - odparł gładko.

- Dom to człowiek. Tak się mówi, i czasem to prawda.

- A jak byś scharakteryzowała wasz w Wildze?

Bronte musiała się uśmiechnąć.

- Jest eklektyczny, no i nawiedzają go duchy. W połowie pochłonęła go dżungla. Kolorowy, przesycony mnóstwem zapachów, przewiany tropikalnymi wietrzykami. Mam mówić dalej?

- Lepiej nie. Rozmarzyłem się... Bronte, zróbmy z niego raj.

- To już jest raj!

- Słowa, słowa... Ten raj zamienił się szybko w zaginiony świat z uwięzioną w nim starą kobietą. Nawet Adam i Ewa mieli możliwość wyjścia.

Bronte spuściła głowę.

- Jestem niewdzięczna.

- No co ty!

- Oj... zrobiłeś dla Gilly tyle dobrego. Uważa, że jesteś wspaniały.

- A ty oczywiście tak nie uważasz.

- Nie chcę sprawić ci przykrości, Steven.

- No cóż... ciężko mi ukryć zawód, ale miło usłyszeć, jak mówisz do mnie po imieniu.

Dom Christine był równie oryginalny jak ona sama. Stał na wzniesieniu nad morzem, lazurowym za dnia, a teraz skrzącym się w księżycowym świetle.

- Ładny! - powiedziała Bronte.

- Budynek zaprojektował krewny Christine, utalentowany, młody architekt z Singapuru.

- A ta willa, o tam? To twoja?

- Nie, należą do Nicolsów. Poznasz ich dzisiaj, ja mieszkam trochę dalej.

Christine powitała ich w drzwiach. Miała na sobie chiński długi cheongsam i wyglądała w nim urzekająco. Przedstawiła ich gościom i wzięła Stevena pod rękę. W Bronte wszyscy od razu rozpoznali aktorkę z popularnego serialu. Wyczuła też, że sprawa jej zerwania z synem Richarda Saundersa, potentata na rynku mediów, jest powszechnie znana. Niemal od samego wejścia zaczął jej asystować, i to dość namolnie, bardzo przystojny mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Nazywał się Guty Butler, miał piękny uśmiech i ładne szarozielone oczy. Nie wiadomo dlaczego uznał, że Bronte sprawi przyjemność rozmowa o jej aktorskiej karierze, choć naprawdę był to ostatni temat, który ją bawił.

Natrętna asysta Butlera zaczęła już naprawdę męczyć Bronte, gdy od jego towarzystwa wybawił ją Steven.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział beczere-monialnie - ale chciałbym pokazać Bronte dom. Christine jest zajęta, więc prosiła, żebym ją zastąpił.

- Czekam na panią, Bronte - obiecał Butler.

- Nie przejmuj się nim. Już ja go wymanewruję - szep-

nał Steven, kiedy odeszli na bok. - Facet szuka żony. Szczęściara będzie trzecią z kolei.

- A co mnie to obchodzi? - odparła oschle Bronte. - Ten facet ma chyba dwa razy tyle lat co ja.

- Tak, ale jest bogaty i podoba się kobietom. Niestety nie potrafi być wierny.

- Znasz mężczyznę, który to potrafi?

- Jesteś cyniczna. - Przystanął, zatrzymując kelnera, i wziął z tacy dwa kieliszki szampana. - Twoje zdrowie! Wyglądasz zachwycająco.

- Dziękuję. - Piła powoli, a Steven wpatrywał się w nią jak w obraz. Co on sobie w ogóle wyobraża? - pomyślała podenerwowana. W jego oczach nie było zwykłej, czystej żądzy, raczej... No właśnie, co? Wszystko jedno. Musiała nad sobą zapanować.

- Masz w ręku kieliszek, uważaj... - powiedział Steven.

- No tak, a co?

- Zdawało mi się, że zaraz go upuścisz. - Uśmiechnął się, biorąc ją leciutko pod ramię i kierując w stronę tarasu z widokiem na morze.

Dużą otwartą przestrzeń pokoju przedzielały ozdobne słupy z wypolerowanego tekowego drewna wieńczone rzeźbionymi łukami, pod którymi przechodziło się z jednej części do drugiej. Umeblowania prawie nie było. Coś nadzwyczajnego w porównaniu z natłokiem sprzętów w domu w Wildze. Nieliczne chińskie stare meble o muzealnej wartości przyciągały wzrok, ale nie odwracały uwagi od całości wnętrza. W całkowicie przeszkloną przednią ścianę wpasowano drewniane łuki, co nadawało



jej oryginalny wygląd. Dom był nieduży, lecz piękny i elegancki jak jego właścicielka.

Christine nie zostawiła ich długo samych. Podeszła, gdy rozkoszowali się morską bryzą i grą księżycowego światła na wodzie.

- Steven... - zaszczębiotała cicho z tajemniczym uśmiechem. - Przyszedł Frank Corelli, pyta o ciebie. - Zniżyła głos. ~ To ważna figura. Warto zadbać o jego względy. Potowarzyszę Bronte.

- Już idę - powiedział Steven. - Dołączcie do nas za jakieś dziesięć minut, dobrze?

Obie odprowadziły go wzrokiem. Pewny, sprężysty krok, szerokie ramiona, ładny sposób trzymania głowy.

- Piękny mężczyzna, nie uważasz? - Christine rzuciła Bronte przelotny uśmiech. - Interesuje cię?

- Prawie się nie znamy...

- To bez znaczenia. Zauroczenie na ogół przychodzi nagle, czyż nie?

- No cóż, jak sama powiedziałaś, Steven jest wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną - przyznała niepewnie Bronte. - *Ale* ja szukam teraz tylko spokoju. Dlatego tu przyjechałam.

- Na długo? - Christine przytrzymała włosy, chłodząc kark. - Pewnie tęsknisz do dawnej pracy w telewizji. Masz tutaj mnóstwo wielbicieli.

- Ale tam już mnie nie chcą. Podpadłam szefowi.

- Ach, tak. - Tajka spojrzała na nią ze zrozumieniem. - Dla mężczyzny na wysokim stanowisku publiczne upokorzenie jest trudne do przyjęcia. Jesteś jednak taka młoda. To wszystko tłumaczy.

- Wszystko, czyli co?

Christine przepraszającym gestem przyłożyła dłoń do piersi.

- Przepraszam cię, Bronte. Nie mnie to osądzać. Jesteś moim gościem.

- Dlaczego w ogóle mnie zaprosiłaś? - Bronte nie była w stanie znieść dłużej napięcia.

- Dziwne pytanie... - W oczach Christine pojawił się wrogi błysk. - Zależy mi na przyjaznych kontaktach z ludźmi. Steven i pani McAllister weszli w spółkę. Mam pewność, że im się powiedzie. Jesteś najbliższą krewną pani Gilly, więc to chyba naturalne, że pragnęłam cię ugościć.

Christine mówiła takim tonem, jakby dziwiło ją, że musi wyjaśniać coś tak oczywistego, lecz Bronte wyczuwała jej nieszczerłość.

- Przepraszam, jeśli moje pytanie cię uraziło. Wierz mi, nie mam najmniejszego zamiaru wiązać się ze Stevenem Randolphem.

- Jesteś taka dosłowna i obcesowa. Wy, Australijczycy, w ogóle tacy jesteście.

- Owszem. Nie lubimy owijać niczego w bawełnę. Dobrze wiem, że Steven ci się podoba.

- To nie takie proste. Pojawił się w moim życiu, gdy nie radziłam sobie psychicznie po niespodziewanej stracie męża. Był wobec mnie bardzo życzliwy. Jak sama wiesz, mężczyźni rzadko bywają tak po prostu dobrzy. Stevenowi potrzeba czasu. Musi sobie dokładnie uświadomić, czego tak naprawdę chce.

- Ale ty ze swej strony już wiesz?
- Nasza przyjaźń daje mi wielką radość. Być może czeka nas coś więcej. Kto wie.

Nie powinnam była tutaj przyjeżdżać, myślała Bronte, gdy chwilę później wracały do pokoju. Christine mnie nie znosi. Może nie mnie osobiście, ale zagrożenia, jakie dla niej stanowią. Kobiety takie już są. Popełniłam błąd. Steven jest dla tej kobiety kimś niezmiernie ważnym. Nie tylko jako partner w interesach. Znalazła w nim oparcie.

Pożegnali się tuż po północy i wyszli jako pierwsi z gości, tłumacząc, że mają jeszcze przed sobą drogę do Wilgi. Kiedy tylko wsiedli do samochodu, Bronte odczuła znów narastające podniecenie.

- Myślę, że powinniśmy jechać prosto do domu.
- Mówisz jak nastolatka na pierwszej randce. Nie mam żadnych kosmatych myśli. Chciałbym ci tylko pokazać mój dom. Naprawdę.
- Może innym razem.
- Ale o co ci chodzi? Coś cię niepokoi, wiem. Wyczuwam to w tobie przez cały wieczór.
- Szczerze? Ten Butler diabelnie mi się podoba. Zastanawiam się nawet, czy zostać jego żoną numer trzy.
- Uspokój się. Bronte. Ze mną nigdy nie przydarzy ci się nic złego.
- Masz na myśli szybki romansik?
- Mniej więcej. Mimo pewnych mankamentów, jesteś dziewczyną, z którą facet, jak już się zaangażuje, idzie do ołtarza.

Dziwne, ale uwierzyła mu.

- Przelotne romanse są o wiele prostsze. Potem każde z dwojga idzie w swoją stronę. Zwłaszcza mężczyzna. Zresztą ja też nie jestem już nastolatką. Miałam narzeczonego. Wydawało mi się, że go kocham.

- Zapnij pas - powiedział Steven.

- Słucham? - Zupełnie zbił ją z tropu.

- Zapnij pas. Zobowiązuje cię do tego prawo.

- W środku nocy? - Zerknęła na niego z ironią. - Na pustej drodze? Okay. Co jesteś taki rozanielony? - spytała kpiąco.

- Tak piękna wokół noc...

- Ostrzegam cię, tylko żadnych numerów - powiedziała. - Nie chcę się powtarzać, ale naprawdę bywam niepo czytalna. Potrafię uciec sprzed samego ołtarza.

- To nie przestępstwo. I nie widzę w tym nic niepo czytalnego. Wsiadamy. No, chodź. - Pociągnął ją za rękę.

- Przepraszam, ale... naprawdę mieszkasz tu całkiem sam? W porównaniu z tym willa Christine to domek dla lalek.

- Chyba nie zamierzasz robić mi wyrzutów? Mam panią do sprzątnia, która przychodzi dwa razy w tygodniu, i ogrodnika. A dom jest duży dlatego, że kiedyś się ożenię, a chciałbym mieć dużo dzieci.

- Ile? Zmieściłoby się tu chyba całe przedszkole. Jesteś naprawdę tajemniczym człowiekiem. To wszystko musiało cię sporo kosztować.

- A o kredytach bankowych nie słyszałaś? - ściszył głos, biorąc ją pod rękę.

- Mnie każdy bank spławiłby bez chwili namysłu. Nie mam złudzeń.

- To dlaczego wyglądasz zawsze jak milionerka? - zardrwił leciutko.

- Ciuchy mam od matki, a właściwie po niej. No i krótko zarabiałam świetnie jako aktorka. Przemięło z wiatrem. Trudno...

- Żałujesz?

- Może cię to zdziwi, ale nie. Wezwania na plan skoro świt. Ciągła dyspozycyjność. Zmiany scenariusza w ostatniej chwili. A potem utrata pracy z dnia na dzień. - Bronte weszła do środka. - Na takie cudo mężczyzna zdobywa się na ogół dopiero po pięćdziesiątce. Wiesz, co myślę? Najwyższy czas, żebyś założył rodzinę.

Uśmiechnął się sardonicznie.

- Nie opędzisz się od chętnych do ślubu, mając taki dom. Bardzo mi się podoba. To cały ty.

- Niesamowite wyznanie! Mogłabyś to powtórzyć?

- Oj, przestań. Szampan uderzył mi do głowy.

Duży pokój, do którego weszli, miał biało-kremowy wystrój. Za boczne stoły służyły przepiękne kamienne kaptyle, które Steven kupił parę lat temu w Sydney na wyprzedaży antyków. Stylowe kanapy i fotele pokryte były ręcznie tkanymi materiałami. Na ścianach wisiało kilka bardzo dobrych, dużych obrazów. Przepiękny dom, myślała Bronte. Męski, zdecydowanie klasyczny. Coś budzącego zaufanie.

- Ojej! - Wyjrzała przez okno. - Masz nawet basen!

- Przyjdź kiedyś, to popływamy.

- Twój dom i dom Christine to jednak dwa zupełnie inne światy.

- Jesteś zaskoczona? Mój zaprojektowałem sam. Ale przyznaję, konsultowałem się z zaprzyjaźnionym architektem. Wprowadziłem pewne zmiany, ale nie było ich tak wiele.

- Szkoda, że nie mogłeś studiować architektury, tak jak chciałeś.

- Wcale nie żałuję. Zaraz stuknie mi trzydziestka, a wtedy, jako siedemnastolatek, byłem niepoprawnym marzycielem. Spacerowałem po linie.

- Wiem, co to znaczy, ale jeśli chodzi o mnie, byłam jakby uwiązana do liny i bujałam się bez sensu.

Rozmawiali z pozoru spokojnie, lecz atmosfera była bardzo napięta. Bronte nie potrafiła skoncentrować się na niczym poza obecnością Stevena.

- Wiesz, chętnie bym tu jeszcze kiedyś do ciebie wpadła. Za dnia...

- Prawie słyszę, jak bije ci serce - powiedział. - Dobrze, Bronte. Nie poproszę cię o nic, czego sama nie zechcesz.

- Zapewniam cię, nie myślę o seksie.

- A ja tak! - Nieoczekiwanie chwycił ją za rękę. - Jesteś taka zasadnicza. Ale niech będzie, jak jest; lubię to.

Powoli odwrócił ją do siebie i zamknął w ramionach. Z wypiekami na twarzy zaczęła coś mówić, lecz umilkła, gdyż inaczej chyba krzyknęłyby z pożądania.

- Uwielbiam ten zapach - wymruczał, całując ją za uchem. - Czym tak pachniesz?

- Sobą - wyszeptwała. - I odrobiną gardenii.

- Pięknie. Cała jesteś piękna. Bronte... Pocałuj mnie.
- Naprawdę tego chcesz?
- Bardzo.
- No dobrze, ale tylko raz. - Wspięła się na palce i musnęła jego usta, lecz po chwili zadrżała z pożądania, czując, że Steven domaga się prawdziwego pocałunku. Rozsmakowywał się w nim powoli. Działo się coś jak z bajki, coś, o czym mogła dotąd jedynie marzyć, a mimo to, prawie bez tchu, powiedziała:
  - Wyjdźmy stąd, Steven. Musimy jechać.
  - Wiem. - Czuł, że powinien zapanować nad sobą, ale dalej ją całował. Tak silnego pożądania nie przeżył nigdy. Bronte reagowała równie gorąco.
    - To niczego nie rozwiązuje - powiedziała cicho. - Ale warto było przeżyć coś takiego.
    - A co byś chciała rozwiązać? - Odchylił ją leciutko, patrząc w jej oczy.
    - Moje życie to jeden wielki zamęt. Nie da się pogodzić interesów z przyjemnościami.
    - W moim przypadku dają się pogodzić wręcz wspólnie.
- Zamknął jej usta pocałunkiem. Całym swoim jestwem pragnęła Stevena. Pragnęła, żeby wypełnił ją sobą, żeby zaspokoił jej szalony, bezgraniczny głód uczucia.
  - Bronte, ty płaczesz? - Uniósł jej twarz, zaniepokojony.
  - No, wiesz... - wydusiła nieswoim głosem - kobiety czasami płaczą. To nic niezwykłego.
  - Dla mnie jest to niezwykłe. - Pochylił głowę i scałował delikatnie łzy płynące po jej twarzy. - Przestraszyłem

cię? Nie chciałem, żeby to tak wypadło. - Raptem uświadomił sobie, że trawiony pożądaniem, zatracił się i zapomniał o wszystkim.

- Potwór! - Zdobyła się na leciutki uśmiech.

- Ja? Dlaczego? Bo cię pragnę? Pragnę cię od pierwszej chwili. Stałaś w tych swoich sandałkach na środku drogi, wroga, podejrzliwa, gotowa do starcia. — Przytrzymał ją za ramiona. - Nie pozwolę ci umknąć.

- Będiesz musiał. Wracam do domu, Steven. Zaczęłam nowy rozdział życia. Uniezależniłam się od mężczyzn.

- Ale nie od zakochania. Od takiej potrzeby nie można się uwolnić. Podobam ci się tak samo, jak ty mnie. Myślę, że to sobie udowodniliśmy. Pragnę cię, Bronte. Fizycznie, ale nie tylko. Nade wszystko zależy mi na tym, żebyś mi zaufała.

- Co za wymagania. - Odsunęła się od niego w nagłym przypływie energii. - Wiadomo, że mężczyźni potrafią kręcić z dwiema kobietami równocześnie. Wiem, jak szybko odchodzą od jednej do drugiej. Nawet najpiękniejszym kobietom świata nie udaje się utrzymać długo swoich mężczyzn. A ja? Mam swoją godność.

- Godność? - Przygarnął ją do siebie i w tym samym momencie w całym domu rozdzwoniły się telefony. - Ki diabeł?! - zirytował się głośno. - O tej porze?

- Nie odbieraj. - Bronte potrząsnęła głowę. - To twoja współpracownica. Sprawdza cię.

- Christine? - Pałały mu oczy. - Nie bądź śmieszna.

- To nie ja jestem śmieszna. Możesz wierzyć albo nie, ale mam dobrą intuicję.



- Christine nigdy nie zatelefonowałaby do mnie o tej porze. Poza tym wie, że miałem cię odwiedzić.

- No właśnie! Odbierz więc telefon, bardzo proszę. Ale lepiej jedźmy już do domu.

- Diabli nadali. Może ktoś ze znajomych ma jakieś problemy... - Poszedł do aparatu w drugim pokoju. Bronte gotowa była założyć się o wszystko, że nie zawiodła jej intuicja. Steven wrócił chwilę później.

- No i co? - Bronte uniosła brew.

- Nie chciałem cię utwierdzać w przekonaniu, że faktycznie masz dobrą intuicję, ale rzeczywiście dzwoniła Christine. Chciała sprawdzić, czy to ja zapaliłem światła. Widać je od niej.

- I natychmiast pomyślała o możliwości włamania?

- Chciała się tylko upewnić.

Chwilę później wyszli z domu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Steven nie zwlekał z wyasfaltowaniem drogi dojazdowej do Wilgi. Przez kilka dni farma była prawie odcięta od świata, lecz w porze deszczowej wynikać z tego miały same korzyści. Bronte inwentaryzowała dalej domowe zasoby, dokonując przy okazji zaskakujących odkryć, a Gil-ty przebywała godzinami w przylegającej do kuchni starej pralni, zajęta wyrabianiem swoich kremów, maści i nalewek. Od czasu do czasu przychodziła do jadalni, gdzie rezydowała Bronte, by nałożyć jej na dłoń czy rękę próbkę jakiegoś kosmetyku. Nie pachniał jak te reklamowane i sprzedawane za grube pieniądze, lecz miał tę samą albo i wyższą jakość.

Jedynymi świadkami przybycia w pobliże Wilgi zmęczonego i zakurzonego od stóp do głów młodzieńca były ptaki - lory, kakadu, galahy i inne gatunki jaskrawo upierzonych papug. Taksówka podwiozła Maksa do początku szerokiego traktu wiodącego do plantacji. Patrząc na trwające mimo straszliwego skwaru prace budowlane, kierowca pokiwał z uznaniem głową.

-Nareszcie! Ktoś musiał przekonać starszą panią, że

trzeba to koniecznie zrobić. W porze deszczowej utopiła-  
by się kiedyś w tym błocie.

Po odjeździe taksówki, przed Maksem pojawiła się konieczność maszerowania zarośniętym poboczem. Miał tylko nadzieję, że nie nadeptnie na jakiegoś węża. Nie zawiadomił Bronte o swoim przyjeździe. Nie mógł. Cały plan tej eskapady zrealizował w tajemnicy. Podczas długiej podróży z Sydney miał czas, żeby zastanowić się nad skrywanym od dawna marzeniem o pozbyciu się ojca. Gdyby stary nagłe padł martwy, matce na pewno nie byłoby gorzej niż obecnie. Och, jak często wyobrażał sobie, że spycha drania z dachu! Żeby nie wiem jak się starał, nie był w stanie niczym go zadowolić. Nigdy! Bez Bronte chyba w ogóle nie zniósłby życia, jakie ten łotr mu zgotował. Zawsze próbowała go osłaniać, nawet wtedy, gdy rozjuszony ojciec wymyślał jej od najgorszych. Ależ była dzielna! Matka, wiedział o tym, opuściła ją zupełnie. Zostawić siedmioletnie dziecko! A niech to! Inna dziewczyna, po piekle, jakie urządzili jej rodzice, gdy zrezygnowała ze ślubu z Saundersem, załamałaby ręce. Ojcu zależało na forsie. Miał pełnego fioła na punkcie swej pozycji. Małżeństwo Bronte było mu potrzebne jedynie do jej umocnienia. Miał wielu wrogów. Niestety żaden z nich nie okazał się na tyle odważny, żeby go sprzątnąć. Maksowi dosłownie wrzała krew. O rany, ale upał! Coś potwornego! Był u kresu sił. Kiedy tylko skończyły się zajęcia, złąpał autobus do granicy Nowej Południowej Walii z Queenslandem. Potem kolejny do Brisbane. Później pociąg dalekobieżny. Myślał, że zaciera za sobą ślady. Zostawił

matce list. Błagał ją, by wstawiła się za nim u ojca. Żeby pozwolili mu spędzić tegoroczne święta z Bronte. Przyrodnia siostra była jedyną osobą na świecie, która go kochała, i jedyną, którą naprawdę kochał. Tylko przy niej czuł, że jest kimś, a nie bezwartościową oferma. Dla ojca nie liczyło się to, że należał do grona najlepszych uczniów w szkole. Nie był jednak prymusem. Zasadnicza różnica. Pierwszy jest pierwszym, drugi jest już tylko kolejnym.

Przedzierając się przez trawy, zauważył w pewnej chwili, że macha do niego facet prowadzący dużą, warkoczącą maszynę. Zaskoczony przyjaznym gestem, uniósł rękę, ale na nic więcej nie starczyło mu sił. Przyłożył dłoń do nieosłoniętej głowy. Zmierzwione włosy były mokre od potu. Miał na sobie białą szkolną koszulę i długie, grube spodnie. Czuł, jak pot spływa mu po nogach do skarpetek. Czmychając prosto z internatu, nie pomyślał o niczym. Chciał sprawić Bronte niespodziankę. Dopiero teraz uświadomił sobie, że popełnił wielkie głupstwo, nie powiadamiając jej telefonicznie o swych zamiarach. Głowa bolała go tak okropnie, że ledwie widział. Przez całą drogę oszczędzał na jedzeniu, bo musiał się liczyć z pieniędzmi. Kiedy raptem pojawił się przy nim samochód terenowy, przerażony uznał, że majaczy. Z samochodu wysiadł jakiś młody mężczyzna. Wysoki, wysportowany. Żeby to ja mógł mieć takie bary, takie twarde muskuły, pomyślał Mas.

- Cześć, dokąd idziesz? - zapytał nieznajomy. - Podwieźć cię?

- Byłoby świetnie. - Uzmysłował sobie raptem, że pa-

da na trawę. Przed oczami zatańczyło mu morze kwiatów. Do licha! Co się działo?

- Hej, nic ci nie jest? - Młody kierowca podał mu rękę, podciągnął na nogi i wsparł silnym ramieniem. - Czy ty przypadkiem nie jesteś Max? Brat Bronte?

Chłopiec od razu pokochał go za to pytanie. Nazwał mnie bratem Bronte, pomyślał z radością. Nie przyrodnim, a po prostu bratem.

- Tak, to ja we własnej osobie. - Uśmiechnął się szeroko. - Dostałem udaru. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Mężczyzna roześmiał się. Normalnie, przyjaźnie, bez wywyższania się.

- W domu od razu dojdiesz do siebie. A tak przy okazji, nazywam się Steven Randolph. Przyjaźnię się z Bronte i ciotką Gilly. Właśnie jadę do nich z wizytą. - Dokładnie mówiąc, jechał po Bronte. Miał ją zabrać na farmę Wildwood.

- No to mam szczęście. Prawie zemdlałem. - Uścisnęli sobie ręce. - Ale ze mnie fajtłapa. Przepraszam. W mojej szkole jest chłopak o nazwisku Randolph. Uważają go za cudowne dziecko. Twój krewny?

- Nie, to tylko zbieżność nazwisk. Wsiadaj! - Podsadził Maksa na przednie siedzenie.

- Nic dziwnego, że ludzie mrą na pustyni.

- Niedaleko stąd powietrze jest suche i gorące jak w piekarniku. Można zamienić się w proszek. A tutaj - parujemy.

- Dobrze powiedziane. Skąd wiedziałeś, kim jestem? - Max zerknął na swego wybawcę.

- Bronte mówiła o tobie. Myślałem, że nie pozwolą ci przyjechać.

- Zwiąłem. Pewnie już ściga mnie policja. Mój ojciec to prawdziwy łajdak.

- Faktycznie ma taką opinię.

- Znasz go?

- Mnóstwo ludzi miało okazję śledzić błyskawiczny rozwój kariery Brandta - powiedział sucho Steven.

- A ta pani McAllister... Nie będzie miała nic przeciwko temu, że się zjawiłem? - zapytał nerwowo chłopiec.

- Skądże znowu. Gilly to wspaniała osoba. Cieszy się ze wszystkiego, co sprawia radość Bronte. A Bronte było bardzo smutno, kiedy się dowiedziała, że nie pozwolili ci przyjechać.

- No to jestem. - Max wyprostował drobne ramiona i uśmiechnął się triumfalnie. - Jeśli ktoś tu po mnie przyjedzie, zaszyję się w dżungli. Zbiega trzeba najpierw wytropić!

- Nie dopuścimy do tego - stwierdził stanowczo Steven. - Twój ojciec mógłby się znaleźć w nieciekawej sytuacji. A ty - zerknął na chłopca z pewnym współczuciem - musisz koniecznie uwierzyć w siebie.

- Nie każdemu dane jest urodzić się z poczuciem własnej wartości - powiedział Max. Miał dziwne uczucie, że Steven wcale się nie wywyższa, a przeciwnie, podaje mu pomocną dłoń.

- Niekoniecznie masz rację. Ja w twoim wieku też potrzebowałem, żeby ktoś mną pokierował i dodał mi odwagi. Poczekaj trochę. Bronte mówiła, że jesteś zdolny. Masz

w szkole wysoką pozycję, a to znaczy, że łąbski z ciebie facet i możesz zostać, kim chcesz.

- Jeśli nie pójdę na pasku ojca. - Nagłe poderwał się na siedzeniu. - Jesteśmy na miejscu! O rany, jak fantastycznie! Zaraz zobaczę Bronte. Nie mogę się już doczekać.

Bronte podeszła po raz kolejny do wykuszowego okna. Nie była w stanie skupić się na tym, co robiła, gdyż bezustannie myślała o Stevenie. Stało się coś nie do pomyślenia. Zakochała się. Była zakochana po uszy w mężczyźnie, którego w gruncie rzeczy nie знаła. Uciekła do Wilgi, nie pragnąc niczego prócz spokoju, a spotkała właśnie mężczyznę, o jakim marzy każda dziewczyna. Intuicja podpowiadała jej, że Christine gotowa jest podjąć o niego walkę, być może subtelną, niewidoczną dla innych.

Niewesołe rozmyślenia przerwał Bronte widok terenowego samochodu wyłaniającego się z tunelu kwitnących poinsecji. Steven objechał fontannę i zatrzymał się przy samych schodkach. Zauważyła od razu, że nie był sam. Ktoś siedział obok niego na przednim siedzeniu,

O mój Boże! Zerwała się z fotela przy oknie, krzycząc z radości.

- Gilly! Gilly, chodź szybko! Przyjechał Steven i jest z nim Max. - Jak strzała zbiegła po schodkach. - Max! Braciszku! Kochany mój, kochany! Jesteś! To cud, że pozwolili ci przyjechać!

Powitanie było tak wzruszające, że Steven aż odwrócił wzrok.

Gilly pojawiła się na werandzie, energicznie wycierając ręce w fartuch.

- No, dość już, dość! - zawołała wesoło. - A chodźże tu, młody człowieku, przywitajmy się. - Przeniosła wzrok na Stevena. - Cześć, mój drogi. Jak to się stało, że przywozisz nam naszego chłopca?

- Znalazł mnie na poboczu drogi. Dosłownie padłem. Nie jestem przyzwyczajony do takiego słońca. W dodatku nie zabrałem ze sobą kapelusza. Kiedy ktoś podjechał, wydawało mi się, że to cud.

- Zabierz go w cień, Bronte - powiedział z uśmiechem Steven. - I daj mu się napić czegoś chłodnego.

- Masz rację, chłopcze - roześmiała się Gilly. - Stał się cud. Cud, że tu jesteś.

Parę minut później siedzieli już we czworo w chłodzie, w ogrodowej altanie. Steven klepnął lekko Maksa po plecach i kiwnął głową, jakby chciał dodać mu odwagi. Gilly od razu zauważyła ten ruch.

- Chcesz nam coś powiedzieć, Max? - zwróciła się do chłopca. Był podobny do Bronte. Miał nawet takie same oczy. Oczy Mirandy, oczywiście. Wyglądał jednak mizernie. Chudzina. Ręce jak patyki.

- Uciekłeś, tak? - Domyśliła się nagle Bronte. - Wiedziałam, że się nie zgodzą!

- Bronte, nie panikuj! - poprosił Mas, unosząc jednak głowę.

- Słusznie - poparł go Steven. - Może Brandt da się przekonać i pozwoli mu pobyc z siostrą.

-I może jeszcze kupi mi gitarę. Zawsze chciałem ją



mieć. I ferrari, kiedy zrobię prawo jazdy. Wybacz, Steven, ale nie znasz mego ojca. Jest bez serca.

- Jednak znam kogoś, kto naprawdę go zna.

Bronte, z zapartym tchem, zmieszana i zaskoczona popatrzyła Stevenowi prosto w twarz.

- Steven, kim ty właściwie jesteś? Masz znajomych dosłownie wszędzie.

- To nic dziwnego. - Uśmiechnął się. - Zaraz, Max zostawił matce kartkę, więc wiedzą, dokąd pojechał.

- A może moglibyśmy udać, że w ogóle mnie ta nie było - zaproponował chłopiec. - Zaginałem i już. Nikt by się tym specjalnie nie przejął,

- Zdobyłeś się na wielką odwagę - powiedziała Bronte, z niepokojem spoglądając na brata. - Ojciec nawykł do absolutnego posłuchu. Każe ci wracać.

- Nie sądzę, żebym przeżył, gdyby jeszcze raz dobrał się do mnie - wyznał Max z rozpaczą.

Steven zmienił się na twarzy.

- O czym ty mówisz? Masz na myśli kary cielesne?

Chłopiec spaśnowiał, ale pokrył wstyd śmiechem.

- A jak myślisz, dlaczego matka wysłała mnie do szkoły z internatem najszybciej, jak się dało? Dlatego, że mój drogi tatuś lubi bić. Nie byłem dzieckiem, o jakim marzył. Kiedy tylko podrosłem, zaczął się do mnie dobierać z pięściami. Nie potrafiłbym zliczyć, ile razy Bronte stała w mojej obronie.

- Boże wielki! - Gily poszarzała na twarzy. - Bronte, chyba mi nie powiesz, że cię bił?

- Również dla mnie ratunkiem stała się szkoła z interna-

tern - odpowiedziała cicho. - Brandt nie tykał mnie, póki nie wchodziłam mu w drogę. Jego ofiarą był zawsze Max.

Gilly zdjęła okulary i mocno wytarła oczy.

- Niesamowite. Coś z tym trzeba zrobić. A Miranda...  
Boże, jaka z niej matka?!

- Myślę, że też się go boi - powiedział Steven.

- Jej nie bije - zapewnił Max.

- W twojej obecności. Nie mogę ci zdradzić, kto to jest, ale znam pewną osobę, która mogłaby nieźle wygarnąć twojemu ojcu.

- Naprawdę? - Max spojrzał na Stevena jak na bohatera. - A co by mu powiedziała? To chyba jakaś ważna persona. Ktoś wpływowy.

- W każdym razie dużo wie o Brandcie.

- A właściwie jak go poznałeś? - spytała Bronte. Stevena otaczało tyle tajemnic.

- Jego, ja, nieważne. Zaufaj mi, Bronte. To wszystko, o co proszę.

- Ja ci ufam - zadeklarował Max. - Chcę tu zostać. Niczego bardziej nie pragnę.

- Zobaczą, co się da zrobić. Musimy działać szybko. Czas nie stoi w miejscu.

- Prawdopodobnie już tu po mnie kogoś wysłał...

- Masz to jak w banku - przytaknęła Bronte.

Brat chwycił ją za rękę.

- Przepraszam cię za to zamieszanie. Raz dla odmiany chciałem postawić na swoim, ale chyba popełniłem wielki błąd.

- Spróbuję coś zdziałać. - Steven podniósł się od stołu.

- Muszę natychmiast zadzwonić w parę miejsc. A potem, jeśli masz siły i ochotę, możesz zabrać się ze mną i Bronte na wycieczkę. Wybieramy się do Wildwood. To farma i rezerwat.

- Krokodyle też tam są?

- Same olbrzymy. - Steven uśmiechnął się, a Max aż podskoczył z radości.

- Cudownie! Jadę!

-W tym stroju? - Bronte spojrzała na jego szkolny mundurek. - Będzie ci za gorąco.

- Mam tylko gatki na zmianę i piżamę. Czyli - nie mogę jechać?

- Oczywiście, że możesz - sarknęła Gilly. - Bronte nic takiego nie miała na myśli. Poszukaj czegoś dla niego, kochana. Ależ to chudzina. Musimy go trochę odkarmić. Jeśli Max zostanie u nas, trzeba będzie wybrać się do miasta i sprawić mu odpowiednie ubranie,

- Nie dziwię się, ciociu, że Bronte cię kocha - powiedział Max. Obszedł stół i spontanicznie ucałował Gilly.

Do Wildwood dotarli w porze karmienia zwierząt. Dołączyli do dużej grupy turystów, przyglądających się zza płotu, jak Chika, wspólnik Stevena, rzuca karmę najgroźniejszemu krokodylowi, zwanemu tutaj żartobliwie królem Tutem. Olbrzymia bestia pochłaniała duże kawały mięsa z upiorną szybkością. W tłumie rozlegały się okrzyki podniecenia i odrazy. Słyszać było głośne miażdżenie mięsa i kości.

Bronte zerknęła na zakurzoną akubrę oceniającą roz-

paloną twarz Maksa. Na nosie, nad górną wargą i na skroniach pojawiły się kropelki potu.

- Nie robiłbym tego za żadne skarby świata. - Uśmiechnął się szeroko. - Odrażająca robota, nie? Ten Chika musi mieć dość takiego życia. Widzieliście, jak szybko ta bestia wylazła z wody? Ruszyła prosto na niego,

- Dorosły potrafi połknąć człowieka jednym kłapieniem paszczy - odpowiedział Steven. - To krokodyl morski, te żyjące w wodach słodkich są o połowę mniejsze. Król Tut ma sześć metrów długości, może trochę więcej. Krokodyle zamieszkujące dzikie ujścia rzek zabijają ludzi; słodkowodne są nieszkodliwe. Żywią się wyłącznie rybami.

- Ale jedno i drugie należą do rodziny gadów? - zapytał Max.

Steven skinął głową.

- Tak, podobnie jak pokrewne im aligatory, kajmany i gawiale. Australia jest ojczyzną gadów. Są wśród nich jadowite i niejadowite węże, fantastyczne ilości jaszczurek. .. Wyglądają przerażająco, ale poza goanną są na ogół nieszkodliwe. Musicie jeszcze podejść do terenu pytona.

Max szalał z radości. Na przeogromnej kopule nieba nie było nawet obłoczka. Lazur aż porażał wzrok. Z drzew wyfruwały mieniące się kolorami papugi - szmaragdowe, czerwone, niebieskie, żółte, fioletowe... Głębiej w lesie znajdowały się jeziora, wylęgarnia tysięcy olbrzymich krokodyli.

Przed wyjazdem z farmy poszli we troje do Chiki Morana.

- Biznes kwitnie - powiedział uradowany. - Znam swoje ograniczenia, ale dzięki niemu - zwrócił się do Bronte - czuję, że mam jeszcze po co żyć. To Steven zamienił ten matecznik w prawdziwy rezerwat, a jak widzicie, jest co oglądać. Turyści uwielbiają takie miejsca.

- Naprawdę niepojęte, jak Aborygenom udawało się przetrwać w kompletnej dziczy - powiedziała Bronte.

- Uważali krokodyle za swoich braci - wyjaśnił Chika. - Wierzyli, że są święte. Tak samo traktowali rekiny. Dawne wierzenia chroniły ich, ale nas już to nie dotyczy. A ty, chłopie - uśmiechnął się przyjaźnie do Maksa — co tu porabiasz? Gębusia ci się zaczerwieniła. Musisz się trochę opalić.

- Jeśli w ogóle pobędę z wami dłużej...

- A nie? - Stary spojrzał na Stevena.

- To dłuższa historia, Chika.

- Nie ma sprawy. Idę na obchód. Chcesz, chłopcze, wybrać się ze mną? Pokazałbym ci parę rzeczy, których sam mógłbyś nie zauważyć. Czasami nawet ja nie dostrzegam tego, co mam dosłownie pod nosem. Dzikie zwierzęta potrafią się kamuflować.

- Bardzo bym chciał! - Max poderwał się z miejsca.

- Niech mu pan nie pozwoli podchodzić do kazuara!  
- zawołała za nimi Bronte.

- Kazuary faktycznie są niezbyt przyjemne - kiwnął głową Steven. - Z jakiegoś powodu nienawidzą samochodów o błyszczącej, ciemnoniebieskiej i ciemnoszarej karoserii. Lubią je atakować.

- Może widzą w niej swoje odbicie i wyobrażają sobie, że to drugi ptak - zasugerowała Bronte.

- Teoretycznie jest to możliwe. - Steven uśmiechnął się. Patrzenie na nią sprawiało mu ogromną przyjemność. Miała dziś na sobie biały, obramowany koroneczką top i bardzo ładną, kwiecistą zwiewną spódnicę. Kształtne nogi nabrały złotej opalenizny. Mógłby na nią patrzeć przez cały dzień. - Kazuary potrafią skakać na wysokość dwóch metrów i mają silne pazury, więc w rezerwacie żyją za ogrodzeniem. Wszystkie dzikie zwierzęta są nieprzewidywalne. Nasze milutkie misie koala też. Masz ochotę na lody?

Bronte czuła, że wszystko w niej wibruje. Jakie to cudowne być zakochaną! Kiedy Steven poszedł po lody, zeszła na brzeg jeziora. Było po części zarośnięte przepięknym, błękitnym lotosem, a linię brzegową wyznaczały trzciny, kępy irysów i cudownie pachnących lili. Po zielonej tafli wody sunęły majestatyczne czarne łabędzie.

W cieniu olbrzymich drzew ustawiono drewniane stoły z ławami. Przy jednym z nich usadowiła się rodzina z kilkorgiem dzieci. Bronte usiadła w pewnej odległości, zdjęła z głowy słomkowy kapelusz i położyła go na blacie, myśląc o Maksie. Ojczym wiedział, gdzie przebywał. Wiedział, jak go znaleźć. Nie było sensu się oszukiwać. Brat znalazł się w bardzo trudnej sytuacji. Z Carlem Brandtem nikt jeszcze nie wygrał, a co dopiero mówić o nastolatku, który, co gorsza, był jego synem.

Odwrócona twarzą do jeziora, Bronte nie spostrzegła Stevena, póki lekko nie dotknął jej ramienia,

- Lody ananasowe, proszę. Lepiej szybko się do nich zabierz.

- Dziękuję. - Oblizła skapującą z wafla przepyszną polewę czekoladową.

- Nad czym się tak zadumałaś? Martwisz się czymś?

- A tak wyglądam? - Wzięła od Stevena serwetkę do wytarcia palców. - Wyobraziłam sobie reakcję mojego ojczyma. Pewnie nie przypuszczał, że Max wypnie się na niego i czmychnie do nas. Na pewno wpadł w furję. To kompletny wariat. Może zawiadomił już policję.

- Nie sądzę - odparł spokojnie Steven. - Na razie policja nas nie nagabuje.

- No to wyśle tu swoich janczarów. Wiem, to straszne, co mówię, ale mam nadzieję, że mój ojczym kiedyś wyzionie ducha. Usiłuję złamać Maksa od dziecka. Zastanawiam się nad tym, co powiedziałaś o mojej matce.

- Że być może Brandt bije również ją? - Delikatnie ujął Bronte za nadgarstek.

- Jeśli to prawda, zakłuję go choćby nożyczkami - powiedziała, czując, że mimo wszystko nie mogłaby czegoś takiego zrobić. - Nigdy nie widziałam, żeby ją choćby tknął, i nigdy się nie skarżyła. Ale faktycznie, pozory pozorami, a bardzo możliwe, że matka boi się go tak samo jak my. Jest zbyt zastraszona, żeby od niego odejść. Twierdzisz, że znasz kogoś, kto dużo o nim wie. Nie możesz mi powiedzieć, kto to jest?

- Powiem, kiedy dowiem się wszystkiego. Chciałbym, żebyś mi zaufała.

- W porządku. - Pochyliła głowę. - Wiesz, stało się dziś coś dziwnego. Obudziłam się i wydawało mi się, że mnie całujesz.

Steven przygarnął ją ramieniem.

- W nocy, wtedy po przyjęciu u Christine, kiedy wreszcie położyłem się do łóżka, czułem na sobie twój zapach. Czułem cię wszystkimi porami. Nigdy w życiu nie pragnąłem żadnej kobiety tak jak ciebie. Chcę cię stąd zabrać do mojego domu. Pojedziesz? Spójrz na mnie. Proszę - szepnął, gdy spuściła głowę. - Odpowiedz.

- Steven... - Napięcie między nimi było tak ogromne, że nie potrafiła grać. - Są pewne sprawy, które mnie niepokoją. Kim ty jesteś, ale tak naprawdę? Jakie miejsce zajmuje w twoim życiu Christine? Jesteście sobie bardzo... bliscy.

Zaśmiała się odrobinę szorstko.

- Wydaje mi się, że już ci to mówiłem. Christine jest moją przyjaciółką, współpracowniczką w interesach, a nie kochanką.

- Mężczyźni kłamią... Naprawdę nigdy nie pomyślałeś, że mógłbyś się w niej zakochać?

- Bardzo lubię na nią patrzeć. Mam słabość do pięknych kobiet, a Christine jest nie tylko piękna, ale i lojalna, inteligentna. Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie. Zrozum, ta kobieta niedawno straciła męża. Przeżyła to bardzo ciężko. Jest ode mnie sporo starsza. Nie wiedziałas o tym?

- A czy to ważne? - Bronte poczuła ukłucie zazdrości i zawstydziło ją to.

- Już nie. Od chwili, kiedy cię zobaczyłem, nie pragnę nikogo poza tobą.

- Bo widzisz we mnie przyszłą kochankę? A jeśli nie jestem taka świetna?



- Dla mnie wszystko jest proste jak obręcz - powiedział z delikatną kpina. - Oboje wiemy, że nie sprawilibyśmy sobie nawzajem zawodu. Pasujemy do siebie jak ulał. Fizycznie...

- A charakterami? Co chciałbyś zmienić w moim charakterze?

- Niewiele. - Pogłaskał ją po szyi. - Wiem, że po pewnym czasie wyzbyłabyś się szorstkości.

- Bez niej nie byłabym sobą. Które z nas jest podobniejsze do swoich rodziców? Ty znasz moich. Wiem, że straciłeś matkę, że bardzo ją kochałeś. Nie znam twojego ojca ani brata. Ty wiesz wszystko o mojej rodzinie. W dodatku poznałeś Maksa. Może jest tak, że całe moje pokręcone życie pchnęło mnie w twoje ramiona. Może jako biznesmen widzisz we mnie cenną zdobycz i szansę, by zrobić dobry interes. Tak traktował nasz związek Nat.

- Umknęłaś Saundersem - powiedział cierpko Steven.  
- To być może najlepsze posunięcie w twoim życiu.

- Nie złość się na mnie. - Raptem uzmysłowiła sobie, że to co powiedziała, zdenerwowało go i zabolowało.

-Próbuję, ale...

- Steven, ja potrzebuję czasu. Rozumiesz? Już raz popełniłam błąd.

- Masz odczucie, że to, co dzieje się między nami, toczy się za szybko?

- A czy tak nie jest? Wtargnąłeś w moje życie jak burza. Nie chcę tego, ja tak nie potrafię. Być może to, co nas ku sobie popycha, jest podniecające, ale jeszcze nie wiem,

co to jest. Wszedłeś w spółkę z Gilly, macie rozległe plany. Ale czy powiodą się, jak oboje wierzycie? Ja mam brata. Czeka go ciężka przeprawa z ojcem. Brandt nie przepuści Maksowi. Zabierze go stąd i skatuje.

Stevenowi pociemniały oczy.

- Trzeba mu przeszkodzić. I to nie tylko ze względu na Maksa, ale i dla dobra twojej mamy. W jednej sprawie na pewno jesteście zgodni. Oboje nienawidzimy ludzi pokroju Brandta. Ludzi niszczących innych. Przez wiele, wiele lat zacierał za sobą ślady. Myśli, że mu się to udało, że wygrał, siejąc strach. Jednak zawsze istnieje ktoś, kto trzyma klucz do czyichś mrocznych tajemnic.

- Nikt nie jest w stanie wyciągnąć na światło dzienne takich spraw. - Bronte oparła się spontanicznie o ramię Stevena, a on objął ją w talii.

- Trzeba mieć nadzieję. Przypadek ratuje ludzkie życie. Może je też zniszczyć. Ktoś zdąży na samolot. Samolot roztrzaskuje się w górach. Kto inny przez przypadek spóźnia się o parę minut. I co? Żyje! Mogłoby się zdarzyć tak, że byś mnie nie spotkała. Że ja nie poznałbym ciebie. Że Max nie odważyłby się przyznać do maltretowania przez ojca. Wszystko to się jednak zdarzyło. Maszyna została puszczona w ruch.

- Wiesz, jak to wspaniale brzmi? Ale.

- Bez ryzyka nie ma wolności. - Musnął wargami jej włosy. - Jesteś gotowa je podjąć?

- Jestem gotowa na wszystko, póki ty jesteś przy mnie. - Słowa te wyrwały się z jej ust bezwiednie.

- I będę.

- Oj, ty... Wiesz, jak na mnie działasz?
- Co w tym dziwnego? Kocham twoje oczy, odbijają się w nich wszystkie emocje. Twoje włosy, szyję, a już najbardziej usta. Jak myślisz, czy ktoś by zauważył, gdybym cię pocałował?
- Co najmniej dwadzieścia osób. - Szybko zerknęła przez ramię.
- No to zamknij oczy...
- Steven, proszę... - Czuła, że jeśli zaczną się całować, z tyłu rozlegną się oklaski.
- W porządku. Odbiorę to sobie później, możesz być pewna. O, idzie twój brat. Świetny chłopak. Będą z niego ludzie. Mam wrażenie, że dogadali się z Chiką.
- Bronte uśmiechnęła się.
- W życiu nie oddam go ojcu - powiedziała poruszona. - Jestem z niego bardzo dumna. Nie doceniłam jego wewnętrznej siły.
- Najważniejsze to pokonać w sobie lęk. Ty musiałaś przezwyciężyć strach, żeby nie dopuścić do ślubu. Wymagało to odwagi. Okrucieństwo rodzi strach, a strach nienawiść. Max zrobił pierwszy krok w stronę wolności. Musimy mu pomóc.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Był późny ranek. Gilly i Max wybrali się na wycieczkę po lesie. Bronte zajęła się swoją zdającą się nie mieć końca pracą przy inwentaryzowaniu zasobów ogromnego domostwa. Wciąż dokonywała nowych odkryć. Nie było to niczym zaskakującym. Od wielu pokoleń w rodzinie McAllisterów wszyscy coś kolekcjonowali.

Słyszając, że ktoś podjeżdża, Bronte podeszła do okna. Nie mógł to być Steven. Załatwiał dziś sprawy w mieście. A zatem kto? Wszyscy w domu obawiali się, że Brandt naśle na nich policję albo swoich goryli. Najciężej przeżywał to oczywiście Max. Gilly natomiast była nieustraszona. Mówiła, że z uwagi na to, że mieszka samotnie na odludziu, dostała pozwolenie na broń. Bronte nie miała pewności, czy to prawda. Wiedziała jedynie, że za młodu ciotka świetnie strzelała.

Duży samochód terenowy z opancerzoną maską wjechał w aleję i okrążył fontannę.

- Boże wielki! - Bronte cofnęła się od okna. Przyjechał ojczym! Zjawił się tu osobiście. Niesłychane! Brudną robotę zawsze wykonywali za niego inni ludzie. Gdzie matka? Ona przynajmniej próbowała hamować

jego najgorsze wybuchy szału. Ktoś obok niego siedział. Nie, nie może być. Bronte czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Ojczym przywiózł Nata Saundersa. Po co?! Aż zatrzęsała się z gniewu. Podbiegła do aparatu i wystukała numer telefonu komórkowego Stevena. Zapamiętywanie numerów zawsze przychodziło jej łatwo. Chwała Bogu! Zerknęła w stronę wejścia. Ojczym i Nat byli już na schodkach werandy. Gdy Steven odebrał telefon, cała się trzęsała.

- Steven, słuchaj - rzuciła zdyszana. - On tu jest. Przyjechał. Nie sam. - Prędko odłożyła słuchawkę i podeszła do drzwi.

- O co chodzi? - przywitała ojczyma twardym głosem.  
- Co tu robisz?

Brandt ledwie na nią spojrział. Odepchnął ją i wdarł się do korytarza, zaglądając do salonu i jadalni.

- Gdzie jest Max?

- Nie ma go tutaj.

Mogła się teraz spodziewać wszystkiego. Na przykład uderzenia w głowę. Miała do czynienia z człowiekiem, który w gniewie nie potrafił się kontrolować.

- Gdzie jest?! Niech no go tylko znajdę, to...

- To co? Pobijesz go na śmierć?

Stojący za ojczymem Nat patrzył na nią z zachwytem i przerażeniem.

- Bronte, proszę, uspokój się. Powiedz, gdzie jest Max. To twój obowiązek. Carl ma prawo wiedzieć. Jest jego ojcem.

- Ojcem? - powtórzyła z ironią. - Dobrze sobie! Terro-

ryzuje dzieciaka całe życie. Pochwalasz to? Ty śmierdzący tchórze!

Brandt zmienił się na twarzy. Bała się, że zaraz ją uderzy.

- Bronte, bądź rozsądna. - Nat przeszedł ciężko parę kroków i stanął między nią a ojczymem. - Nie masz w tej sprawie żadnego udziału. W niczym nie zawiniłaś. Max sam to zaplanował. Nie ma sensu stawać w jego obronie.

- Czyżby? Jesteś zwolennikiem bicia dzieci?

- Oczywiście, że nie. Carl chce jedynie odzyskać syna, a Max zasługuje na karę.

- Gdzie jest moja matka? - Bronte grała na zwłokę. Gilly i Max wracali zazwyczaj przez ogród za domem i nie zauważyliby samochodu stojącego na podjeździe.

- Zamilcz! - Brandt chwycił cenną chińską wazę i cisnął nią o ścianę. - Szkoda czasu na gadanie o twojej matce... Przeszukaj dom! - rozkazał Natowi. - Ten mały łajdak gdzieś się schował. Pewnie siedzi w łazience.

Saunders nie poruszył się. Patrzył na leżącą na parkiecie roztrzaskaną wazę, jakby się zastanawiał, jak ją naprawić.

- Cholera jasna! - zaklął Brandt. - Nigdy nie odzyskasz Bronte, jeśli będziesz się zachowywał jak baba!

- Na litość boską, Nathan! - krzyknęła Bronte. - Co on wygaduje? Nie wróć do ciebie za żadne skarby świata. Po co pomagasz temu szaleńcowi?

- Chciałem jedynie zobaczyć się z tobą. Naprawdę. Kocham cię. Ty mnie chyba też.

- Nie, Nat. Gdybym cię kochała, wyszłabym za ciebie. Przykro mi.

- Zamknijcie oboje gęby, bo sam je wam pozamykam!  
- zagroził Brandt. - Rób, co mówię, Saunders. Przeszukaj dom.

- Max chciał tylko spędzić tu święta. O nic więcej nie prosił! - krzyknęła Bronte. - Dlaczego mu na to nie pozwoliłeś? Dlaczego jesteś takim potworem?!

Brandt roześmiał się wzgardliwie.

- Szkoda, że ten mały nie jest do ciebie podobny. Miałby wtedy więcej szans!

Bronte mocno przygryzła wargę.

- Już rozumiesz? - powiedziała z rozpaczą do Nata. - Rozumiesz, dlaczego nie mogę mu oddać brata?

- Sam się boję jak diabli. Przyjechałem wyłącznie ze względu na ciebie. Co mi tam Max! Dostanie po uszach, wielka mi rzecz. Gdzie on jest? Widziałaś, co Brandt zrobił z wazą, a na pewno jest dużo warta. Lepiej go nie drażnić, bo gotów zniszczyć wam cały dom.

- Dzwonię na policję. To jedyne wyjście.

- Zapytają cię, dlaczego ukrywasz syna przed rodzonym ojcem. Twoja matka, kiedy ostatnio ją widziałem, nie wyglądała zbyt dobrze.

- Kiedy to było? - Bronte zaniepokoiła się nie na żarty.

- Bezpośrednio przed naszym wyjazdem. Była mocno upudrowana, ale zauważyłem, że ma podbite oko.

- Co jej się stało?

- Nie wiem, ale na pewno nie uderzyła się o drzwi.

- Ktoś musi z tym skończyć. Boże, Boże...

- Tylko jak?

- Nie oddam mu Maksa! Za nic!

- Nie jestem w stanie cię obronić. Chciałbym, ale Brandt zrobi ze mnie miazgę. Czasami mam wrażenie, że jest obłąkany. Zrozum... Powiedz mu, gdzie jest ten dzieciak. Spróbuję dowieźć go do domu w jednym kawałku.

Przez dobry kwadrans Brandt i Saunders przeszukiwali dom i najbliższą okolicę. Jeśli Gilly i Max znajdowali się teraz gdzieś na skraju lasu, mogli spostrzec, co się dzieje. Gdyby ciotka wiedziała, że ma się ukryć, nikt by jej nie znalazł w dżungli.

Bronte podeszła do starego kredensu. Zapamiętała, że również tam przechowywano kiedyś strzelbę. Sięgnęła do kredensu i oblała się zimnym potem. Strzelby nie było! Chwilę później Bronte stanęła znów twarzą w twarz z ojczymem i Natem. Brandt, czerwony na twarzy, tocząc oszalałym wzrokiem, przypominał bardziej diabła niż człowieka.

- Ostatni raz cię pytam, ty krowo. Gdzie jest mój syn?

- Poza domem - odpowiedziała twardo, zaskoczona własną odwagą. - Na wypadek, gdybyś nie zauważył, otacza nas dżungla.

- Kłamiesz! - Brandt chwycił ją za ramiona i potrząsnął jak szmacianą lalką.

- Carl! Uspokój się. Zostaw ją - odważył się odezwać Nat.

W odpowiedzi ojczym pchnął Bronte z taką siłą, że poleciała przez sień i uderzyła głową o konsolę. Nat rzucił się na niego, ale po chwili i on wyładował na ścianie.

- Nie ruszać się - wycedził Brandt. - No to sobie poczekamy. Nasze ptaszki kiedyś wróca.



Nagle do ich uszu dobiegł warkot helikoptera. Brandt wyskoczył na werandę.

- Kto to jest? Jasna cholera!

- Policja! - odskrzyknęła Bronte, natychmiast zapominając o bólu głowy. - Kiedy wchodziliście, zdażyłam zaawiadomić policję.

- Chwała Bogu! - jęknął Nat. - Ludzi takich jak twój ojczym powinno się zamykać w więzieniu.

- To nie jest policyjny helikopter - stwierdził zimno Brandt. - Każ się tym ludziom wynosić, byle prędko. Słyszysz mnie?

Bronte podniosła się na drżących nogach.

- Przyleciał mój znajomy. Tak, to na pewno on - powiedziała, czując ulgę. - I co? Wszystkich nas pobijesz? - Wybiegła na werandę i prosto ze schodków wpadła w objęcia Stevena. - Boże, nareszcie! Gilly i Max są gdzieś w lesie. Możliwe, że zauważyli, co się tutaj dzieje i postanowili nie wracać.

- Bądź tak dobra i skończ rozmowę z tym panem. Nie pora na odwiedziny - przerwał jej tubalny głos ojczyma, Steven jednak wziął Bronte za rękę i pociągnął do domu.

- A to niby dlaczego, panie Brandt? - zawołał ironicznie. - Dawnośmy się nie widzieli!

Ojczym rzucił głową jak dzikie zwierzę, które zwierzyło myśliwego.

- Bardzo dawno przyznał. — Nie powiem, żeby odnowienie naszej znajomości sprawiło mi przyjemność. Wolno spytać, co tu robisz?

- Pomyślałem, że nadarza się sposobność, żebyśmy sobie troszeczkę porozmawiali.

- Niby o czym? - Brandt oddychał ciężko. - Jestem tu wyłącznie z powodu mojego syna. Z tobą nie ma to nic wspólnego.

- O, przeciwnie - zaproponował Steven. - Bronte i jej ciotka Gillian są moimi przyjaciółkami. Poznałem też Maksa. Lubię go. Słyszałem, że od łąat znęcasz się nad nim. Nad matką Bronte prawdopodobnie też. Lubisz krzywdzić ludzi? Jesteś sadystą?

Brandt uśmiechnął się, jakby usłyszał dowcip.

- Nie będę się z tobą bawił w żadne rozmówki, Saunders. Jest ze mną twój kuzyn. Siedzi gdzieś w domu.

- Saunders? - Bronte, zszokowana, spojrzała na Stevena.

- To ty nic nie wiesz, mała? - Ojczym zarechotał. - Słyszałem, że pan Steven używa teraz panieńskiego nazwiska matki. Randolph. Dobra, konserwatywna rodzinka. Takich jak ja nie wpuszczało się do ich domu. No, proszę, proszę. Nathan, chodź no tu. Przyjechał twój kuzyn. Chyba - roześmiał się tubalnie - ukradł ci dziewczynę.

- Steven... - Nat stanął w drzwiach. - Czy to naprawdę ty?

- Kopę lat, kuzynie - odparł Steven. - Przyjechałeś tutaj w towarzystwie kogoś takiego jak Brandt? Robiłeś w życiu głupie rzeczy, ale nie wiedziałem, że zdarza ci się to tak często.

- Ty za ta jesteś bardzo sprytny. - Nat spurpurowiał.  
- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, przyjechałem prosić Bronte, żeby do mnie wróciła.

- I co mu powiesz? - Steven obejrzał się na nią.

Stała jak wryta, kompletnie oniemiała i nagle, z płonąącymi oczami. Wybuchnęła gniewnie:

- Ciekawe, czego jeszcze się dowiem?! Na razie dotarło do mnie, że Steven Randolph to Steven Saunders, dziwnym trafem kuzyn mojego byłego narzeczonego.

- Wiele lat temu wypiął się na całą rodzinę - poskarżył się Nat takim tonem, jakby uważał to za jeden z siedmiu grzechów głównych. - Jego matka umarła na raka, ale on obwinił za jej śmierć ojca, mojego wuja Bryce'a. Nie chciał nawet nosić naszego nazwiska. Wuj Bryce jest dyrektorem dużej firmy prawniczej Radcliffe & Reed. Na pewno o niej słyszałaś. Pamiętasz mojego kuzyna Lyalla? To starszy brat Stevena. Przedstawiłem ci go podczas naszego zaręczynowego przyjęcia.

- Owszem, pamiętam. - Aż syknęła, czując nagły ból w głowie. - Nie spodobał mi się. Rozmawiał ze wszystkimi tak, jakby miał ich za idiotów.

- Pogadacie sobie na ten temat kiedy indziej - wychrypiał nienawistnie Steven.

- Dobra. Kawa na ławę. Masz ochotę na moją pasierbicę, to ją sobie bierz. Zależy mi wyłącznie na synu. Chcę go zawieźć do domu, do mamusi.

- Która ma podbite oko - zakpił Nat. Stary potwór nie wydawał mu się już taki groźny. Steven wyglądał teraz inaczej, niż go zapamiętał. Był bardzo męski, silny, wysportowany...

- Śmiała mi się sprzeciwić - przyznał bezceremonialnie Brandt.

- Bardzo głupio postąpiłeś. I tak się składa, że był to ostatni raz, kiedy miałeś okazję kogokolwiek tknąć. A już szczególnie żonę i syna.

- No, no, ciekawe. - Nastroszone brwi Brandta przecięła zmarszczka. - A niby kto miałby mi przeszkodzić?

- Nie kto, a co. W najbliższym czasie czeka cię proces. Będziesz się musiał nieźle uwijać, żeby udowodnić, że nie miałeś nic wspólnego ze sprawą North Field.

- O co ci do cholery chodzi? Farma spłonęła w pożarze.

- A na jaką sumę była ubezpieczona? Na z górą czterdzieści milionów dolarów. Obłowiliście się nieźle, ty i twój dwaj wspólnicy.

- North Field? - wymruczał Nat, nagłe blednąc. - Tato nie był chyba w to zamieszany, bo...

- Na szczęście dla nas wszystkich nie - uciał Steven, nie patrząc na kuzyna. - Twój ojciec może i nie zawsze postępuje uczciwie, ale nie jest pospolitym przestępcą jak ten tutaj.

- Zejdź ze mnie, chłopie, dobrze ci radzę - zagroził Brandt. - I nie trzaskaj dziobem po próżnicy. Sprawę tego pożaru dokładnie zbadano. Ogień został zaproszony przypadkiem.

- Masz krew na rękach, Brandt. W pożarze zginął mężczyzna.

- Którego nie powinno tam być.

- Ale znalazłem kogoś, kto zna całą prawdę o tym wydarzeniu - powiedział Steven.

- Znasz szaleńca, który odważyłby się świadczyć przeciwko mnie? Kto to jest?

Bronte przysłuchiwała się tej wymianie zdań bezgranicznie zdumiona. Po raz pierwszy w życiu widziała swego ojczyma autentycznie przestraszonego.

- Sonia. - Steven nawet nie podniósł głosu. - Twoja pierwsza żona. Najlepsza przyjaciółka mojej matki. Wtedy nie miała odwagi ci się postawić, ale teraz jest w innej sytuacji.

- Przy rozwodzie potraktowałem ją bardzo hojnie.

- W zamian za milczenie, tak? I milczała. Wszystko, co robiłeś i mówiłeś, budziło w niej przerażenie. Ale teraz już się nie boi. Rozmawiałem z nią.

- Jeżeli złożę zeznania przeciwko mnie, gorzko tego pożałuje. Ty, Saunders, też. Zresztą, co ty możesz? Nic. Jesteś zerem. Rodzony ojciec cię wydziedziczył. A ja mam pieniądze i wpływy.

- Uważaj, co mówisz! - przerwał mu dźwięczny kobiecy głos. W drzwiach stała Gilly. Zasłaniała sobą Maksa, mierząc do Brandta ze strzelby. - No, drogi panie. Co pan robi w moim domu? Nie przypominam sobie, żebym pana zapraszała.

Zapadła cisza. Oniemiał nawet Brandt. Steven podszedł spokojnie do Gilly.

- Nic się nie stało i nie stanie, kochana. Możesz odłożyć broń.

- Tak, Gilly. - Bronte ze strachu drżał głos. Była przerażona tym, co mogłoby się stać. Ciotka zawsze broniła jej jak lwica.

Na obwisłe policzki ojczyma wystąpiły ciemnoczerwone wypieki.

- Głupia starucha! - Roześmiał się wzgardliwie. - Powinno się ją wyprawić do domu wariatów.

- Uważaj, żebym ja cię nie wyprawiła na tamten świat!

Steven położył rękę na lufie.

- Daj spokój, Gilly - poprosił łagodnie. - Jeśli go zabijesz, wylądujesz w kryminale. Mamy przed sobą mnóstwo pracy. Leo przysłał nowe projekty, musisz je obejrzeć.

- Tchórzliwe bydlę! - parsknęła ciotka, oddając strzelbę Stevenowi. - Nigdy ci nie wybaczę piekła, na jakie skazałeś Bronte. Ani tego, co robisz Maksiowi.

- Nie wtrącaj się, babo! - krzyknął Brandt. - To nie twoja sprawa. Max! Do mnie! Ojciec do ciebie mówi.

- Ojciec? A skąd mam wiedzieć, czy naprawdę jesteś moim ojcem? - odkrzyknął chłopiec, zaskakując wszystkich. - Mama mogła cię okłamać. Nie jestem do ciebie podobny ani z wyglądu, ani z charakteru. A w ogóle to koniec. Nie będziesz mnie więcej bił ani robił mi dzikich awantur. A gdzie jest mama? Co jej zrobiłeś? Nie rozumiem, dlaczego żyła z tobą tyle lat.

- Ze strachu - stwierdził spokojnie Steven. - Ale nie ma jej już w domu. Nie czeka na ciebie, Brandt. Twoja żona i syn wybrali wolność.

- Na jak długo? - zadrwił Brandt.

- Ja też nie wracam. - Nat chwycił Bronte za rękę. - Zostaję tu ze swoją dziewczyną.

- Mowy nie ma! - Steven spokojnie i stanowczo uwolnił jej dłoń. - Będziesz musiał wrócić do miasta ze swoim przyjacielem. Zadzwoń do tatusia. Przyśle po ciebie samolot.

Nat zrobił się czerwony na twarzy.

- Mojemu tacie zawsze na mnie zależało. Bronte... Powiedz mu... Nie chcesz, żebym wyjeżdżał, prawda? Nie jestem winny temu, co się stało. Kocham cię. Wystawiłaś mnie do wiatru, ale bardzo za tobą tęsknię. Nie przejmuj się gadaniem mojej matki. Powiedziała swoje, ale wybacz ci.

- Cwana dziwa! - podsumował matkę Nata Brandt.

- Wybacz, synu - Gilly obrzuciła byłego narzeczonego Bronte niechętnym spojrzeniem. - Nie możesz się tu zatrzymać. Zbieraj się stąd, nim wezwę policję. - Podeszła do telefonu.

- Kiepsko na tym wyjdiesz, Saunders - pogroził Stevenowi Brandt. - Skończysz jak twoja matka.

Steven napiął mięśnie. Widać było, że jeszcze chwila, a rzuci się na Brandta. Bronte przeraziła się nie na żarty. Pobicie ojczyma obróciłoby się przeciw Stevenowi. Z całych sił chwyciła go za rękę.

- Zostaw go, proszę. Nie przejmuj się jego gadaniem. Nie jest tego wart.

- Słusznie - przytaknęła stanowczo Gilly.

Bronte zrobiło się zimno. Wstrzymała oddech i nagle z najwyższym zdumieniem zobaczyła, że ojczym wycofuje się w stronę wyjścia. Czyżby rejterował? To chyba jakiś cud.

- Uważaj, Saunders - krzyknął Brandt z dołu schodków werandy. - Nie znasz teraz ani dnia, ani godziny. Nie dam ci żyć. Tobie, Max, również.

Max wybuchnął śmiechem.

- Śmierzący tchórz! Wiesz co, Gilly? Szkoda, że nie poczęstowałaś go ołowiem. Mizerna aktorka. Jak to w ogóle możliwe, żeby ktoś taki był moim ojcem?

- Twoja matka nie jest święta - powiedział z nienawiścią Brandt - ale przynajmniej nie robiła mnie w konia, jak tego głupka, ojca Bronte. Jesteś moim rodzonym synem. Pamiętaj o tym, Max! - krzyknął, wsiadając do samochodu.

Chłopiec wybiegł na werandę.

- Jestem wolnym człowiekiem! - zawołał za nim, a Bronte uściskała go z całych sił.

- Skąd u licha wytrzasnąłeś helikopter? - spytała Gilly Stevena.

- Pożyczyłem od znajomego. Niestety nie na długo. - Popatrzył za odjeżdżającymi. Brandt wystawił rękę za szybę, żegnając ich wulgarnym gestem. - Chciałbym jednak upewnić się, czy twój ojciec faktycznie zawrócił do miasta. Max, lecisz ze mną?

- Jasne!

Steven poszukał wzrokiem oczu Bronte, ale nie była w stanie spojrzeć na niego. Przez cały czas biła się z myślami, pełna sprzecznych uczuć. Gilly dotknęła jego ręki. Wybaczyla mu wszystko, pomyślała ze złością Bronte. Czula się oszukana.

- Uważasz, że nie masz nam nic do wyjaśnienia? - spytała zdenerwowana. - Mamy przyjąć do wiadomości, że nazywasz się Saunders, tak? Dla mnie to upokarzające. Może jeszcze się dowiem, że byłeś żonaty, ale się rozwiodłeś?



- Bronte, skarbie... - Ciotka usiłowała ją uspokoić.  
- W porządku, Gilly. Nic się nie stało - odpowiedział spokojnie Steven. - Nie, Bronte. Jestem kawalerem. - Objął ramieniem Maksa. - I noszę nazwisko Randolph.

Odeszli obaj w kierunku żółtego helikoptera.

- Steven! - Zawołała za nim Gilly. - Po powrocie porozmawiajcie we dwoje na spokojnie i w cztery oczy.

- Żeby tak mnie okłamać! Dlaczego? Po co?

- Myślał zapewne, że najlepiej nie mówić nic. - Gilly stanęła po stronie Stevena. - To nie jest kłamstwo. Najważniejsze, że znalazł sposób na pozbycie się twego ojczyma.

Dobiegł do nich szum i po chwili zobaczyły, jak helikopter leci w stronę wybrzeża.

- Wspaniale! - zachwyciła się Gilly. - Kiedyś i ja tak polecę! Steven zabierze mnie na wycieczkę nad Rafę i na wyspy. Dzięki Stevenowi czuję się, no, jak to określić... jak dzierlatka.

- Zauważyłam. - Bronte westchnęła głośno. - Tyle że masz rywalkę nie tylko we mnie. Jest jeszcze Christine.

- Zakochała się w nim, ale nic z tego nie będzie.

- Skąd wiesz?

- Nie masz w sobie ani odrobiny próżności i za to też cię kocham. - Ciotka roześmiała się. - Christine znajdzie odpowiedniego mężczyznę i wyjdzie ponownie za mąż, ale, wierz mi, nie za Stevena. On jest twój.

- Możliwe, że mu się podobam, a on pociąga mnie, ale... jak długo to potrwa?

- Jak długo zechcesz, dziewczyno. Wystarczy na pew-

no, żebyście się pobrali i mieli dzieci. Większości ludzi nie dane jest nigdy przeżyć takiego zauroczenia. Ty masz to szczęście. A w ogóle, to uspokój się. - Ciotka objęła ją ramieniem. - Posiedź trochę, pomyśl, a ja zrobię kawę. Jest świeżo palona. Powinna być świetna.

- Nie sądzisz, że prażysz ziarno za długo?

- Wiesz, jak Steven nazywa moją kawę? - Gilly uśmiechnęła się. - Szatan.

- Sam jest szatanem. Powinien od razu mi powiedzieć, że zna osobiście mego ojczyma, a już zwłaszcza przyznać się do tego, że Nat jest jego kuzynem. Chcę mężczyzny, który gotów jest dzielić ze mną najgłębsze tajemnice, a nie takiego, który oszukuje.

- Założę się, że ty też nie opowiadałaś mu o wielu swoich sprawach. Nie byłaś dla niego słodka... - Czarne oczy ciotki złagodniały nagle. - Steven Saunders... Ładne nazwisko. Pasuje do niego.

- Oj, Gilly, Gilly - jęknęła Bronte. - Jeśli chodzi o Stevena, zaakceptowałabyś wszystko. Czujesz jednak, że dawne nazwisko bardzo mu ciąży i stanowi dla niego duży problem. Dlatego je zmienił.

- Steven jest młody, kiedyś bardzo go zraniono - odpowiedziała Gilly ze smutkiem. - Nie potrafi puścić w niepamięć tego, co zrobił jego ojciec. Przełóż to na swoje własne życie, dziewczyno. Nie było i nie jest lekkie, prawda? Na twoim miejscu nie zadzierałabym nosa. Prawda jest taka, że Steven udowodnił nie tylko to, że jest naszym przyjacielem, ale również ocalił Maksa. Na naszych oczach załatwił Brandta.

- A ta Sonia to kto?
  - Pierwsza żona twojego ojczyma.
  - Był już żonaty?
  - Cierpliwości! Niedługo wszystkiego się dowiesz.
  - A moja matka? Co się z nią dzieje? - Bronte szalała ze strachu. - Dlaczego się ze mną nie kontaktuje?
- Gilly prychnęła i szybko wyszła na werandę.
- Na twoim miejscu nie przejmowałabym się nią za bardzo! - zawołała. - Miranda bawi teraz prawdopodobnie w „Palazzo Versace” na Złotym Wybrzeżu. I jeśli Max nie mija się z prawdą, nie jest tam sama.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miranda odezwała się do nich późnym wieczorem, przed dziesiątą. Gilly miała chyba dar jasnowidzenia, gdyż matka Bronte faktycznie ulokowała się w „Palazzo Versace”.

- Przeprowadziłam z twoim przyjacielem Stevenem długą rozmowę - oznajmiła córce.

- Żartujesz!

- Nie. Nie wspomniał ci o tym? Tak czy owak, chcę, żebyście wiedzieli, ty i Max, że wystąpiłam o rozwód.

- A z kim teraz jesteś? Co to za facet? - Bronte pomyślała o zmarłym ojcu i zrobiło jej się przykro.

- Jaki znowu facet? - Matka udała niewiniątko. - Dobry Boże, co ci chodzi po głowie? Dzwonię, żebyście wiedzieli, że jestem zdrowa i nic mi nie grozi, a ty od razu wszczynasz kłótnię.

- Przepraszam, mamo.

- Masz taki ostry język. Martwię się o ciebie, Bronte, naprawdę.

Chciała też rozmawiać z Maksymem, ale ten, wyczerpany przeżyciami mijającego dnia, poszedł spać, zaklinając się na wszystkie świętości, że nigdy, przenigdy

nie wyjedzie z Wilgi. Miranda powiedziała, że jeszcze zadzwoni. Posunęła się nawet dalej. Zapytała o Gilly i prosiła, żeby ją pozdrowić. Zachowywała się zupełnie inaczej niż dawniej.

Bronte odłożyła słuchawkę i zapukała do ciotki, która też się już położyła.

- Wejdz, skarbie, drzwi są otwarte. Kto dzwonił? - zapaliła boczną lampkę i usiadła na łóżku. W przyciemnionym świetle, z włosami zaplecionymi w warkocz, wyglądała dziwnie młodo.

- Mama, inaczej mówiąc, Miranda. - Bronte zrelacjonowała telefoniczną rozmowę. - Masz genialną intuicję. Moje gratulacje. To cud, że takiej wróżki jak ty nie pokazują w telewizji. Miranda nie zdradziła mi, z kim teraz jest, ale powiedziała, że wystąpiła o rozwód. I wiesz co? Przesyła ci pozdrowienia.

- A to dopiero! - Gilly uniosła się gwałtownie. - Masz pewność, że to naprawdę ona?

- Naprawdę. Mówiła do mnie jak ktoś dobry i troskliwy. Rozmawiała ze Stevenem. Wiedziałaś?

- Tak. Zwierzył mi się z tego przy Maksie, gdy dałaś jasno do zrozumienia, że nie będziesz z nim rozmawiać.

- Nie widziałam innego wyjścia... A tak przy okazji, strzelba nie była naładowana, prawda?

Gilly ziewnęła szeroko i opadła na poduszkę.

- Brandt o tym nie wiedział.

- Steven też.

- Jest domyślny, podobnie jak ty. I wiesz co? Sama sobie z nim porozmawiaj, a mnie, starej, daj spać.

Bronte podeszła do drzwi, posyłając ciotce pocałunek.  
- Kocham cię, Gilly. Śpij słodko.  
- Ja też cię kocham, moja ty bajko. Czytam w tobie jak w książce.

Ta noc nie była zwyczajnie czarna czy ciemna. Roziskrzona gwiazdami niebo miało kolor indygo. Skapane w księżycowym świetle drzewa rzucały koronkowe cienie na trawę. Wulkaniczne wzniesienie odcinało się ciemniejszą barwą od granatowego tła, królując nad domostwem. Bronte nalała sobie kieliszek zimnego białego wina i wyszła na werandę. Nie miała pojęcia, gdzie jest Steven. Prawdopodobnie już się położył. Mogła go poszukać i wyciągnąć na rozmowę, ale zrezygnowała. Miała w głowie zbyt wielki zamęt.

Spójrz prawdzie w oczy, dziecino, pomyślała o sobie. Decyzja zależy wyłącznie od ciebie.

Była zakochana w Stevenie do szaleństwa, lecz czuła się nieszczęśliwa i niepewna. Całe jej dotychczasowe życie było tak pokręcone, że nie mogła się zmienić w ciągu jednej nocy. Musiała mieć mężczyznę, któremu mogłaby zaufać. Czy to zbyt wygórowane żądanie?

Pnącza bugenwilli białej jak welon panny młodej oplatały boki szerokich schodów. Z ogrodu bił zapach kwiatów. Był taki mocny, że można się było nim upić. Bronte usiadła w ratanowym fotelu, rozkoszując się nocą i winem. Odchyliła głowę i zapatrzyła się w niebo. Krzyż Południa. Konstelacja, której przyglądała się tyle lat. Mieździany księżyc żeglował po niebie jak galeon popychany

przez wiatr. Dokąd zmierza moje życie? - zastanawiała się i nie znajdowała na to pytanie odpowiedzi.

Nie spostrzegła Stevena, póki w ciemnościach nie rozległ się jego głos.

- Co widzisz, kiedy tak patrzysz w niebo? - Przystawił sobie drugie ratanowe krzeselko i usiadł obok.

- Przestraszyłeś mnie. - Przyłożyła dłoń do krtani, czując, że serce podchodzi jej do gardła.

- Przepraszam. Zachowywałem się cichuteńko, żebyś mi nie uciekła. Dlaczego wciąż uciekasz, Bronte?

- Po co pytasz? Naprawdę nie wiesz? - Nie odwróciła głowy, ale nie musiała. Wyczuwała go wszystkimi zmysłami. Podniecał ją już samą swoją bliskością. Dawało mu to ogromną przewagę.

- Powiedziałaś, że to, co dzieje się między nami, spadło na ciebie jak grom z jasnego nieba. Że się tego boisz. Stało się to tak szybko, że trudno się pozbierać. Nie tylko tobie, mnie też. Na początku traktowałaś mnie bardzo nieufnie. Zdobycie twego zaufania stało się więc dla mnie niezwykle ważne. Pomyśl, co by było, gdybym ci się przedstawił jako kuzyn Nata.

- Jakoś bym się z tym oswoiła.

- Nigdy w życiu.

- OK, masz rację. Dlaczego w ogóle się poznaliśmy, i to właśnie tutaj, u Gilly? Dlaczego znalazłeś się tak daleko od domu?

- Dziwne, że o to pytasz. Queensland to dla wielu osób ziemia niczyja i azyl. Podobnie jak ty chciałem uciec od mojej rodziny choćby i na koniec świata. Zachowałem się

tak jak Max. Marzyłem o niezależności. I myślę, że mi się udało, stałem się naprawdę wolnym człowiekiem. Spadek po matce pozwolił mi rozwinąć skrzydła. Zawsze tego pragnęła.

- A co się z nią działo? Jak to było? Dlaczego tak nienawidzisz swego ojca?

- Nie mam zwyczaju o tym mówić. Po co?

- Nie masz zwyczaju mówić o niczym istotnym - powiedziała z zalem. - I właśnie to budzi mój niepokój. Wydaje mi się, że pora już, żebyśmy zaczęli rozmawiać ze sobą całkowicie szczerze. Chcę wiedzieć, co dzieje się w twoim umyśle.

- Przez tyle lat zachowywałem pewne sprawy tylko dla siebie. Bronte... - Smutno pokręcił głową.

- Powiedz mi przynajmniej jedno. Rozmawiałeś z moją matką. Jakim cudem? Gdzie? Skąd w ogóle wiedziałeś, gdzie jej szukać i jak się z nią skontaktować?

- Jak to gdzie? W ich domu. Twoja matka była kompletnie rozbita. Brandt uderzył ją w twarz. Stało się to niedawno. Za bardzo się wstydziła, by komuś o tym powiedzieć. Udało mi się ją przekonać, żeby spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i jak najprędzej gdzieś się wyniosła. Nie potrzebowała zachęty. Chce się rozwieść. Od lat wie, że powinna zdobyć się na odwagę i coś w swoim życiu zmienić, ale ten drań trzymał ją twardą ręką. Przełamała się ostatecznie, gdy doszło do awantury z powodu Maksa. Ogromnie się o niego bała.

- Naprawdę? No to dlaczego nie zawiadomiła nas, że Brandt będzie tu lada moment?



- Taka już jest. — Steven wzruszył ramionami. - Twoja matka przez całe życie stawiała siebie na pierwszym planie, więc i teraz zadbała przede wszystkim o siebie. Po prostu uciekła,

- Tak, tyle że do luksusowego hotelu - skomentowała cierpko Bronte. - Myślała wyłącznie o własnym bezpieczeństwie... A z nim, z moim ojczymem, co się stanie? Wiesz?

- Przeszukają jego dom i biura, dojdą do osób związanych z tamtą aferą. Śledztwo zostanie wznowione. Minęło ponad dziesięć lat, ale od tamtej pory w kryminalistyce wiele się zmieniło. Policja dysponuje nowoczesnymi metodami wykrywania przestępstw. Bez problemu można dziś odzyskiwać usunięte pliki z twardych dysków i odtwarzać dawne stany kont bankowych. Na usługach twojego ojczyma jest jednak cała plejada wybitnych prawników. Możliwe, że się jakoś wywinie.

- Mówiłeś o Soni, pierwszej żonie Brandta. Co ona może?

- Jeśli śledztwo się przeciągnie, to nie wiem, czy ona w ogóle dożyje jego końca. Jest śmiertelnie chora. Wykryto u niej nieoperacyjnego raka mózgu. Prognozy nie są dobre. Rzecz jednak w tym, że Sonia już się nie boi. Wie, że umiera i uwolniła się od strachu przed Brandtem. Krótko mówiąc, wygląda na to, że właśnie ona, ofiara przemocy, jakiej zaznała w małżeństwie, zamierza go pograżyć.

- Max będzie musiał zmienić nazwisko. Tak jak ty -

powiedziała ze smutkiem Bronte. - Nie widzisz żadnych szans, by pogodzić się z bratem i ojcem?

- Z bratem - być może. Z ojcem - nigdy. Kiedy moja matka w straszliwych bólach umierała w swoim pokoju na piętrze, sprowadził sobie do domu kochankę, młodą dziewczynę, dwa lata starszą od mojego brata. Świnia! Mama tego nie przeżyła. O wszystkim dowiedziała się od naszej gosposi. Durna baba. Nie wiem zresztą, dlaczego to wypaplała, bo bardzo lubiła mamę. Może wydawało jej się, że matka powinna wiedzieć, co jest grane. Ojciec zwolnił ją od razu. Matka długo chorowała. Było mu ciężko, wiem, ale nie zdobył się choćby na taką przyzwoitość, żeby widywać się z kochanką poza domem. Mojemu bratu też było trudno to ścierpieć, ale uznał, że jeśli nie pogodzi się z tym, co wyprawia ojciec, nasze życie stanie się jeszcze cięższe. Wiedzieliśmy, że ta kobieta zostanie z nim na zawsze.

- Pobrali się?

- Tak. Nigdy jej nie widziałem. Mam nadzieję, że jest dla niej szczodry.

- Będzie przynajmniej miała łatwiejsze życie niż ty.  
- Bronte podniosła się. Czuła smutek i głębokie zakłopotanie. - Chyba pójdę się już położyć. To był ciężki dzień. Za dużo tych emocji. Jestem wykończona.

- Ja jeszcze trochę posiedzę - powiedział Steven, lecz kiedy odchodziła, pociągnął ją za rękę i zamknął w ramionach. Ich usta poszukały się same, gorące, spragnione pocałunku. - Wiele dla mnie znaczysz, Bronte - wyszeptał chrapliwie.

- Chciałabym ci wierzyć. - Oparła głowę o jego ramię i trwała tak przez moment z roziskrzonymi oczami.

- Jak mam cię przekonać? - Pieścił dłonią jej pierś, zsuwając cieniutkie ramiączko sukienki. Bronte niemal nie mogła oddychać. Czuła, że Steven obejmuje jej łydki, gładzi uda, przesuwając dłoń coraz wyżej... Och, jakże go pragnęła. - Bądźmy dziś z sobą, Bronte. Błagam.

- Wiesz, że tutaj to niemożliwe.

- Zrobiłbym wszystko, żeby cię mieć. - Poderwał się z krzesła, wziął ją na ręce.

Przytuliła się i objęła go za szyję.

- Steven, nie możemy...

- A chcesz tego?

- Tak, ty wariacie. Nie jesteśmy sami. Gilly i Max... Czuję się jak dziecko, który chciałby coś przeskrobać.

- Rozumiem, masz rację. Ale nie, ja tego nie wytrzymam! - Pociągnął ją na deski werandy. - Sypiałaś z Natem, tak?

- Gniewa cię to?

- Jeszcze jak! - Odgarnął jej długie włosy i okręcił je sobie wokół nadgarstka. - Ale trudno, wszystko mi jedno. Powiem ci wprost. Naprawdę mi odbiło! Pragnę cię i muszę cię mieć. A kiedy i gdzie, to już twoja sprawa.

Minął tydzień. Nikt nic od nich nie chciał. Odezwała się tylko Miranda. Mówiła, że zawarła znajomość z bardzo miłym człowiekiem i pytała, czy znają długoterminową prognozę pogody. Zapowiadano cyklon.

Było to bardzo prawdopodobne. W listopadzie 1973

roku nad Wilgą przeszedł cyklon Ines. Największych spustoszeń dokonał kolejny, w grudniu tego samego roku, który zniszczył miasto Darwin. Ostatni szalał nad Morzem Koralowym w maju 1988 roku.

Gilly i Bronte cieszyły się, że mogą korzystać z wyasfaltowanego dojazdu do plantacji. Miały za co dziękować Stevenowi. Były mu też bardzo wdzięczne za zaprzyjaźnienie się z Maksem. Max opalił się i nabrał tężyzny. Kiedy Gilly zapytała go, co myśli o Stevenie, odpowiedział bez wahania: Równy facet. Któregoś dnia zasugerował nawet, że rzuci naukę, ale Steven stanowczo się temu sprzeciwił.

-Wykształcenie to najważniejsza sprawa. Powinieneś skończyć studia, pomyśleć o przyszłym zawodzie.

- Do ojca nie wrócę - poprzysiągł Max. - Na razie mieszkam tutaj, a potem się zobaczy.

Steven nie zapomniał o obietnicy danej Gilly i zorganizował wycieczkę helikopterem do jednego z przepięknych ośrodków wypoczynkowych na wyspie. Widok z powietrza był wspaniały. Krystalicznie czyste wody mieniły się wszelkimi odcieniami kolorów - od akwamaryny poprzez turkus, kobalt i ultramarynę. Im większa była głębia, tym ciemniejszy błękit. Wielka Rafa Koralowa, największa tego rodzaju formacja na Ziemi, rozpościerała się na olbrzymim obszarze o powierzchni około 200 000 km<sup>2</sup>, ciągnąc się wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża stanu Queensland aż do Cieśniny Torresa. Wylądowali w Royal Hayman, uwa-

żanym za jeden z trzech najwspanialszych wyspiarskich ośrodków wypoczynkowych świata. Był czas na popływanie w lagunie, spacer i wykwintny lunch w restauracji.

Bronte zastanawiała się właśnie nad wyborem dania, gdy nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Obejrzała się i zobaczyła Christine. A niech to! Nie wypadało zachować się niegrzecznie. Zmusiła się do uśmiechu i pomachała. Na szczęście Christine nie podeszła do nich. Dała do zrozumienia, że jest w towarzystwie, lecz jak zwykle poprosiła Stevena na słówko w cztery oczy.

- Kto to taki? - zainteresował się Max. - Lalka!

- Cóż - podsumowała lakonicznie Bronte. - Niełatwo jest być piękną.

- Mam nadzieję, że i ja ją poznam. - Chłopiec był wyraźnie zafascynowany. - Steven to ma powodzenie!

- Pani Christine jest jego współniczką - upomniała go Gilly. - W interesach uroda się nie liczy.

- Ale laska! - Max pomachał entuzjastycznie do Tajki, gdy uśmiechnęła się do niego, siadając ze znajomymi do stołu.

- Chcesz, żeby talerz z ostrygami wylądował ci na brzuchu?! - Bronte przez moment miała ochotę go zamordować.

- Oj, przepraszam - spieszył się chłopiec. - Chyba nie zamierzasz wyjść za Stevena?

- Ani mi w głowie małżeństwo - odburknęła Bronte.  
- Ani z nim, ani w ogóle z nikim

W piątkowej prasie ukazał się nieduży artykuł, przypominający dawny skandal w pewnym starym przedsiębiorstwie i tajemniczy, nie wyjaśniony dotąd pożar plantacji sprzed dziesięciu lat.

- Zaczyna się - powiedział cicho Max.

Po południu Bronte wybrała się do miasta na zakupy. I jej, i Maksowi potrzebne były ubrania, a o odzyskaniu czegokolwiek z domu Brandta mogli tylko pomarzyć. Miasteczko żyło z turystyki, toteż nabycie dobrej gatunkowo odzieży nie nastęczało trudności. Bronte wstąpiła też do sklepiku ze słodyczami po czekoladę i lody dla Gilly, a potem do drogerii po szminkę dla siebie. Innych kosmetyków nie potrzebowała; te, które wyrabiała ciotka, były równie dobre jak kremy, żele czy balsamy sprzedawane za bajońskie sumy.

Wychodząc z apteki, gdzie wykupiła przepisane ciotce przez lekarza krople do oczu, zderzyła się z Christine. Wymieniły uprzejmości, choć Bronte gotowa była przysiąc, że współniczka Stevena ma do powiedzenia coś niezbyt przyjemnego. Christine spojrzała na gwałtownie ciemniejące niebo.

- Obawiam się, że w drodze do domu może cię złapać burza.

- Do licha! - Bronte ściągnęła brwi. - Zachmurzyło się nie wiem kiedy. Jeszcze przed godziną nic nie zapowiadało tak nagłej zmiany pogody,.

Dalsza rozmowa przybrała nieprzyjemny charakter. Christine dała jasno do zrozumienia, że wie wszystko o tym, co dzieje się w Wildze. Powiedziała też bez ogró-

dek, że ze Stevenem próbowało się związać wiele młodych kobiet, zawsze jednak wracał do niej. Bronte usiłowała być uprzejma.

- Ależ wiem, oczywiście. Steven bardzo cię szanuje i darzy wielką sympatią. Twierdzi, że jako jego współniczka jesteś wspaniała.

- Nieprawda, panno McAllister. - Christine zniechęcała. - Jestem dla niego kimś znacznie ważniejszym. Nie rób sobie nadziei. Mówię ci to szczerze i z dobrego serca. Nie chciałabym sprawiać ci przykrości, ale uważaj, bo możesz się sparzyć. Zdajesz sobie chyba sprawę, że Steven beze mnie niewiele zdziała.

- Nie wiem - odpaliła Bronte. - Szczerze mówiąc, niezbyt mnie to obchodzi.

Pierwsze ciężkie krople spadły na asfalt, zanim zdążyła wsiąść do samochodu ciotki. Rozpalona jezdnia i chodniki aż syczały z gorąca. W takich warunkach nie dałaby rady wrócić na farmę. Musiałaby zamknąć okna, a w starym gracie nie było przecież klimatyzacji. Deszcz wzmagął się, zrobiło się straszliwie parno i duszno. Tę burzę należało przeczekać. Bronte wrzuciła torby z zakupami na tylne siedzenie, gdy nagły podmuch wiatru popchnął ją z taką siłą, że uderzyła głową o szybę. A niech to!

- Bronte! - Usłyszała głos Stevena. - Nie możesz jechać do domu tym gratem. Jedziemy do mnie. Zostaw ten szmelc i wsiadaj do mojego samochodu.

- Przeczekaam gdzieś. Wstapię na kawę.

- Nie upieraj się jak osioł i nie dyskutuj! Nie ma czasu na brewerie. Jeżeli zależy ci na własnym bezpieczeństwie, to wsiadaj!

Dziesięć minut później byli już w domu Stevena. Zostawili samochód w garażu i prędko weszli tylnymi drzwiami. Dom wypełnił się nagle światłem błyskawic. Za oknami wiatr przyginał do ziemi liście wysokich palm w ogrodzie. Morze było niezwykle wzburzone. W spienionej, czarnej jak chmury wodzie odbijały się kolory nieba - srebro, fiolet i zieleń. O wały chroniące brzeg uderzały z całych sił wysokie fale.

Był to widok tak zachwycający, pełen takiego majestatu, że Bronte stała przez moment z zaciśniętym gardłem, przepełniona niemal religijnym zachwytem dla sił natury. Wiatr gwizdał i wył, a ulewny deszcz bił o szyby. Po niebie pędziły chmury. Walały pioruny, ale światło błyskawic było jeszcze bardziej przerażające. Burza rozszalała się na dobre. Co z Gilly, co z Makssem? - myślała Bronte, choć nie powinna się o nich bać. Jej stara, kochana ciotka przeżyła nie takie ataki żywiołu.

Gdy wydawało się, że najgorsze przeminęło, na trawie pojawiły się kawałki lodu. O dach bił grad. Po szybach wysokich okien płynęło srebro. Bronte ogarnęło uniesienie. Ogromna błyszcząca fala, zielona w środku, uderzyła o skały.

- Nie boisz się chyba, co? - Steven zbliżył się do niej, gdy powietrze przeszyła kolejna błyskawica rozświetlająca ołowiane niebo.

- Nie - odszepnęła.



- Ten dom był budowany z myślą o cyklonach. - Objął ją. — Niepokoi cię to, że jesteśmy tu tylko we dwoje?

- Cieszę się z tego - przyznała wprost - ale muszę wiedzieć, czego ode mnie oczekujesz.

- Bądź ze mną.

- Jako kto? Twoja kochanka?

- Nieważne, jak to nazwiemy - odparł sucho. - Ale tak się składa, że nie. Nie chcę ciebie w roli kochanki. - Pocałował ją, drżąc z pożądania.

- To rola Christine - rzuciła prędko, żeby nie zatracić się zupełnie.

Steven cofnął się.

- Do licha, o czym ty mówisz?

- Wiem więcej, niż sądzisz - powiedziała twardo, choć była bliska łez.

- Nie wiesz zupełnie nic. O nie, nie puszcę płazem tego, co usłyszałem. Wytłumacz się, Bronte.

- Ja? To raczej ty powinienesz wreszcie zdobyć się na szczerłość wobec mnie.

- A to nie jest szczerze? - Namiętnym pocałunkiem rozbił w puch jej wrogość. - Jestem tutaj, z tobą - wymruczał.

- Jak w ogóle możesz wierzyć w takie bzdury?

- Widywałam was razem. - Serce biło jej tak szybko, że nie mogła swobodnie oddychać. Zazdrość widoczna w jej oczach rozpaliła Stevena jeszcze bardziej.

- To z tobą pragnę być, Bronte. Tylko ciebie dotykać. Z tobą się kochać. I nie puszcę cię stąd, póki się to nie stanie. Chcę, żebyś była na zawsze moja. Żebyś została moją żoną.

Całował ją zapamiętale, a potem wziął na ręce i przeniósł schodami na piętro do swej sypialni, z której okien widać było miotane sztormem morze.

- Kochaj mnie - powiedziała żarliwie Bronte, gdy pieszcząc się, leżeli obok siebie nadzy. - Napełnij mnie swoją miłością. Zabierz mnie do nieba.

Namiętność ma swoją magię. Miłość dodaje nam skrzydeł.

RS

## EPILOG

Przysięgli sobie miłość w święta Bożego Narodzenia. Pierścionek zaręczynowy miał błękitne oczko, ale nie był to szafir, a precudny szmaragd otoczony brylantami. Gilly bardzo się podobał.

- Życzę ci, dziecino, wszystkiego najlepszego - powiedziała, całując wychowanek. - Połączyła was prawdziwa miłość. Nie mogło mnie spotkać większe szczęście. Bądź co bądź, to ja poznałam cię ze Stevenem.

Stół, nakryty białą serwetą, ustawiono w cieniu drzew. Uginał się pod ciężarem morskich przysmaków. Były homary, krewetki, ostrygi, małże, ryby, a wśród nich przepyszna barramundi, pieczona w liściach bananowca i podana na zimno z przyprawionymi na ostro papajami i kokosową salsą. Nie zabrakło też bożonarodzeniowego indyka i szynki. Przybrana plasterkami cytryny i orzeszkami była bardzo smaczna. Na deser podano owoce - brzoskwinie, gruszki, nektarynki, jagody i lody waniliowe z bitą śmietaną.

- Pękam. - Max pogładził się po płaskim brzuchu.

- Jak ty się wyrażasz, kochanie - zganiła go matka. - Za moich młodych lat dziękowało się elegancko.

- Elegancko, elegancko... - Chłopiec uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nawcinałem się, że hej.

- Cieszę się, że ci smakowało - powiedziała Gilly. - A w ogóle to powinienes podziękować siostrze. Prawie wszystko sama przygotowała.

- I sprawiło mi to wielką radość. - Bronte błyszczały oczy. Rozpierała ją radość. - Tak się cieszę, mammo, że jesteś dziś z nami.

- Byłam ci to dłużna - powiedziała Miranda, zwracając się do swoich dzieci. - Przeżyliście przeze mnie koszmar, chociaż i ja się nacierpiałam. - Spojrzała na nich ze łzami w oczach. - Nie byłam dla was dobrą matką.

- Święta prawda - wymruczała pod nosem Gilly.

- No cóż... - Miranda udała, że nie słyszy komentarza ciotki. - Wstydzę się, Bronte, że usiłowałam cię namówić do małżeństwa z Natem. Wybacz mi.

- Jestem taka szczęśliwa - odpowiedziała Bronte - że wszystko wszystkim przebaczam.

- A ja nie! - zbuntował się Max. - Nigdy nie wybaczę ojcu. Nie wrócę pod jego kuratelę.

Matka zbladła nagle jak ściana. Upiła duży łyk wina.

- Prawda jest taka, że...

- Że? - ponaglił ją Max.

Miranda machnęła ręką.

- Nie denerwuj mnie, synku. Nie przerywaj. Prawda jest taka, że...

- Pozwól, że ci pomogę, moja droga - wtrąciła z sarkazmem Gilly. - To zupełnie niemożliwe, żeby Brandt

był ojcem Maksa. Najprawdopodobniej był nim Ross. Mam rację?

Bronte chwyciła Stevena za rękę, jakby szukając w nim oparcia.

- Czy to prawda? Mamo.

Max zerwał się z krzesła i ukląkł przed matką.

- Błagam cię, powiedz, że tak. Błagam, błagam. Carl Brandt nie jest moim ojcem. Powiedz to. Chcę to usłyszeć. Na niczym innym tak mi nie zależy.

Miranda podparła głowę ręką,

- Proszę cię, synu, nie krzycz. Daj mi chwilę... na początku nie miałam pewności. - Zadrżał jej głos.

- Kłamiesz całe życie, Mirando - sarknęła Gilly. - Choć raz zdobądź się na uczciwość. Twoje dzieci być może ci przebaczą.

- Co mam powiedzieć, Gilly... - Miranda wyglądała tak, jakby prosiła o litość.

- Że od piętnastu lat żyjesz w kłamstwie. Dlaczego? Myślę, że dla forsy. Zawsze ci na niej zależało.

- Mirando - odezwał się łagodnie Steven. - Niezależnie od tego, co zrobiłaś, twoje dzieci staną za tobą. Wszyscy będziemy z tobą, jeśli uwolnisz się od Brandta.

- Jesteś dla mnie taki serdeczny, Steven... Tak. Zdradziłam Rossa. Rozbiłam nasze małżeństwo. Opuściłam Bronte. Kiedy uświadomiłam sobie, że jestem w ciąży, nie byłam pewna, kto jest ojcem.

- Mnie nie przekonasz - powiedziała Gilly - ale jakimś sposobem wmówiłaś Brandtowi ojcostwo. Musiało cię to kosztować sporo zabiegów. Byłaś zawsze genialną aktor-

ką. Tylko ja jedna nie dałam się nabrać. Czytałam w tobie jak w książce.

- Wybacz mi. - Miranda spuściła głowę. - Masz rację, znam prawdę i szybko się zorientowałam. Max jest dzieckiem Rossa. Jest do niego podobny, nie zauważyliście? Nie mogłam jednak powiedzieć o tym Carlowi. Chyba by mnie zabił.

- Tak się składa, że prawie zabił, ale nie ciebie, a mnie.  
- Max powoli podniósł się z kolan. - Postąpiłaś naprawdę wrednie. Tyle lat żyłaś z tym łajdakiem. Nie masz godności, mamó? Dlaczego?

- Musiałam, Max. Był moim mężem.

- Ross też był twoim mężem, a odeszłaś od niego - rzuciła zgryźliwie Gilly, ale Max wyraźnie nie zamierzał zagłębiać się w stare sprawy. Rozpromieniony wpatrywał się w Bronte.

- Słuchaj! Jesteśmy rodzeństwem, prawdziwym rodzeństwem! O rany, ja chyba zwariuję z radości! Mamó, kiedy powiesz o tym Carlowi?

- Po co? Żeby pozbawił cię tego, co jest ci dłużny? Żebyś straciła wszystko? Zrozum, naprawdę nie ma sensu mówić mu prawdy. Kiedyś odziedziczysz fortunę. Carl jest chory, ma miażdżycę i bardzo wysokie ciśnienie. Gdyby się dowiedział, mogłoby go to zabić.

- Jeżeli ty mu nie powiesz, zrobię to ja - oświadczył dobitnie Max, sięgając za plecami siostry po czekoladę.

- Ja też - poparła brata Bronte.

- I ja - dołączył Steven.

- Znasz mnie - odezwała się Gilly. - Brandt jest złym

człowiekiem. Masz szczęście, że się od niego uwolniłaś. Nie zawieź nas teraz, Mirando. Chociaż raz w życiu zachowaj się uczciwie.

Święta Bożego Narodzenia stały się początkiem nowego rozdziału w życiu Bronte, Stevena, Maksa i Gilly. Kolejny rok zaczął się od bajecznie pięknego ślubu i wesela w dobudowanej do domu sali bankietowej według projektu Lea Marsdona. Wkrótce stała się ona ulubionym miejscem wesel. Dochody z wynajmu pozwoliły na dalszą rozbudowę i modernizację Wilgi. Duchy przodków rodu McAllisterów miały powód do prawdziwej satysfakcji. Gilly utrzymywała, że słyszy w koronach drzew ich uszczęśliwione głosy.

